



SPECJALNY NUMER ODRY

Poświęcony Szczecinowi i Sprawom Morskim
WYDANY NA DNI SZCZECINA

St. Telega
R. Łyczywek
Szczeciński
T. Wieczorowski
Walerian Lachmitt
St. Helsztyński
Brutus
Cz. Piskorski
M. Koreywo
T. Karpowicz
Wł. Goszczyński

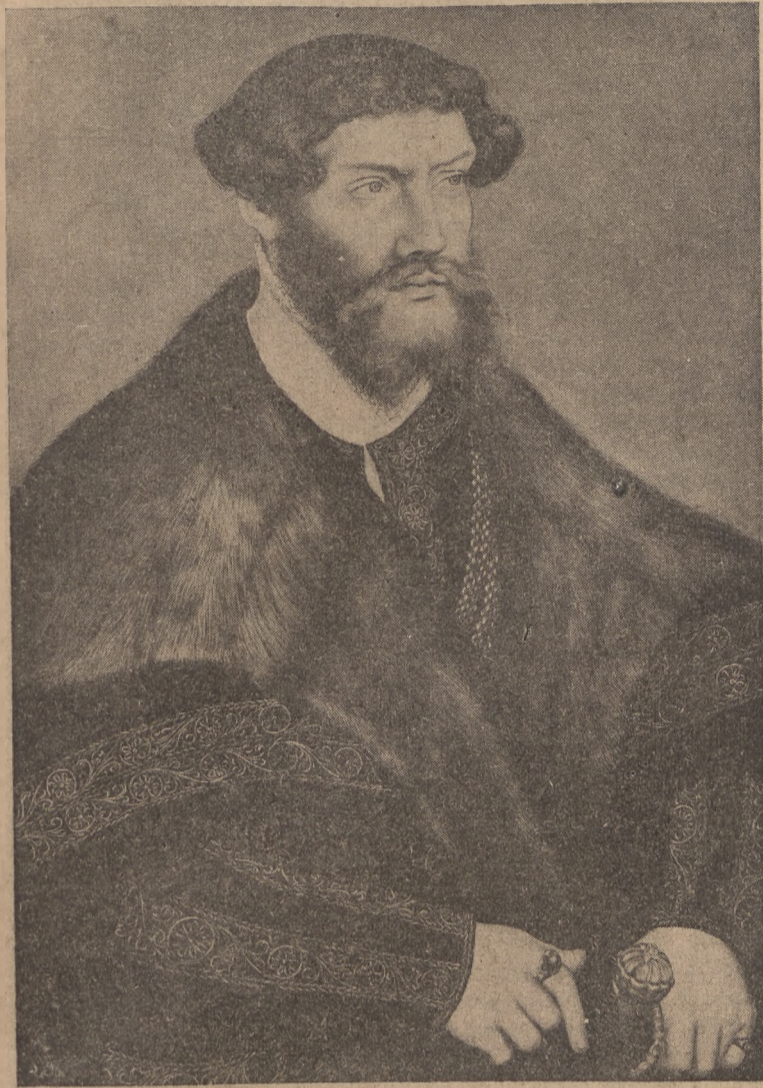


St. Siadkowski
L. Krzekotowski
W. Piotrowski
T. Czekalski
E. Mazurkiewicz
E. Naganowski
L. Szczegodzińska
Z. Obrzud
J. Drda
Wisł
G. Groebl i in.

Z perspektywy Szczecina. — Zależności i warunki. — Perspektywa Odry. — Odwiedziny u Krzywoustego. — Meldunek z huty Słotczyn. — Dwie wiosny. — U Laurenta Odry. — Z życia i walki Polonii szczecińskiej przed r. 1939. — Godziny myśli i chwile wzruszenia. — Wołń domaga się topaty prehistoryka polskiego. — Oblicze kulturalne polskiego Szczecina: teatr, życie literackie, ruch wydawniczy, plastyka, życie muzyczne, biblioteka. — Z czym Szczecin walczy. — Od Torunia po Szczecin — przez Wilczę Laską do Szwecji. — Włersze. — Proza. — Przegląd prasy niemieckiej. — Co robią Niemcy. — Tysiąc contra miliony. — W strefie amerykańskiej. — O miedzę. — Kroniki, sprawozdania, felietony. — Fotografie: podo bizny, mapy, karykatury.



Widok na szczeciński zamek Piastów z poza otaczających go ruin.
Fot. J. Buthak.



Filip I, książę szczeciński, według obrazu olejnego Łukasza Cranacha. Filip I pomimo postępu niemieczyzny na Pomorzu odnawia w r. 1552 w Gdańsku wspólnie z Barnimem IX przymierze antykrzyżackie i antybrandenburskie z Zygmuntem Augustem.

STANISŁAW TELEGA

Z perspektywy Szczecina

Na linii Śląsk — Szczecin

PRZEZ parę miesięcy najwcześniejszej niepodległości przysięgałem się procesowi repolonizacji Śląska. Były to gorące dni lata 1945 i początki zimy 46 r. przebieg tego wczesnego okresu repolonizacji był niewątpliwie imponujący, obliczony na działania długofalowe, niemniej jednak pozostawał w duszy Polaków, przybyłych na teren Śląska, pewien osad niewiary.

Tego nie było w Szczecinie niemal od początku naszego tutaj pobytu. Niemczyzna była wyraźna, jasno odgraniczona i zepchnięta w ściśle zlokalizowane miejscowości. Usunięta też została szybko i zdecydowanie. Problematyka autokolonizacji tych cech skomplikowania co na Śląsku. Dzięki temu język polski rozbrzmiał tu od razu tak niepodobnie, niemal od pierwszych chwil, że dla nas przybyszów szybciej niż na Śląsku nastąpiło poczucie zadowolenia się i wrośnięcia w teren. Szybko też wytworzyła się tu nowa społeczność polska, a różnice lokalne, przywiezione z Polski centralnej, starły się i wygładziły we wzajemnym pożytku. Może oddziaływała tu w pewnej mierze bliskość granicy i cięższe niż gdzie indziej warunki, które jakoś pozwoliły zjednoczyć nas szybciej i silnie. Tak czy owak, nie było tu od początku i nie ma nadal tego rozbiicia i zacietrzewienia politycznego, które obserwujemy w innych częściach Polski. Umożliwiło to wzajemną współpracę i przyspieszało odbudowę Szczecina i Pomorza Zachodniego. Dlatego też dokonywał tu wiele, stworzono rzeczy imponujące i trwałe.

W poszukiwaniu więzi

NOWE społeczeństwo zachodnio-pomorskie, utworzone z różnych elementów etnograficznych, potrzebowało wspólnej więzi tradycyjnej. Kontynuowaniem folkloru lwowskiego czy warszawskiego nie miało sensu, zresztą nie mogło wytrzymać naporu życia. Nowa rzeczywistość mogła więc łatwiej zapuścić tu korzenie, aniżeli gdzie indziej potrzebowała tylko pewnych wspólnych punktów zaczepienia, pewnej więzi duchowej, wspólnej dla wszystkich mieszkańców tego regionu. Tą więzią stała się tradycja historyczna. Odnajdujemy ją i nadal znajdujemy w wielkim zdumieniu i wzruszeniu — taka jest wielka, ciekawa i bezporna. Boczna linia Piastów, rządząca tu przez cztery wieki, słowiańskość rozprzestrzeniona na daleko poza obecne granice Pomorza Zachodniego, dają mocne podłoże do przetrwania postępu między dawnymi a nowymi

mi laty. Sagi o Jarlach Broniszach, Dzikowe skarby, Arkony, grody Świętowita, postacie Kazków ze Szczecina, Bogusławów X otwierają perspektywę związków Polski z Pomorzem. Odległa historia zaczynała być czymś bliskim i realnym. Stało się jasne dla nas: na ziemię tę nie przyszlismy przypadkowo, na ziemię tę tylko powróciliśmy. I dlatego tak szybko, tak nie wiadomo jak i kiedy zrodziła się w nas wielka miłość do tej ziemi odnalezionych przetrzażeń.

Polskie płuca historii

PRZYBLIŻENIE perspektywy dziejowej dało w wyniku wielkiego procesu historycznego jeszcze jedno odkrycie. Oto w tym rejonie ujścia Odry miesiły się w dużej mierze najpiękniejsze zrzęby polskiej państwowości. Kierunek ekspansji szedł w stronę morza. O tym nie należy zapominać. Jednocześnie należy pamiętać, że granice państwa sięgały wówczas poza wyspy Uznam i Wołń, że dotąd sięgała dalej na morze, przy pomocy swego syna Kanuta Wielkiego, władcy Danii i Anglii.

Jakież zrozumieliśmy dla nas i aktualnym jest uparte dążenie Bolesława Krzywoustego daleko poza Szczecin, na morze, ta chrześcijańska Pomorza Zachodniego, zakończona najdalszym władztwem polskim, sięgającym aż po wyspę Rugię właśnie. Jakże aktualna jest myśl polityczna ostatniego z Piastów, który w ostatniej chwili życia zrywał układy andegawęskie, aby przeznaczyć na swego następcę swego wnuka, księcia pomorskiego — Każka ze Szczecina, mającego polską część Pomorza Zachodniego z Polami przybrzeżnymi. Odnajdujemy tu uparte dążenie najwybitniejszego księcia pomorskiego, Bogusława X, wychowanka Jana Długosza, aby złączyć z końcem XV i początkiem XVI wieku, Pomorza Zachodnie z Polską.

To tylko część faktów. Jest ich zaś o wiele więcej. Jest więc z czego czerpać i na czym budować, aby rozbudzić zainteresowanie tu częścią Polski i by zbudować początek tradycji historycznej. Ziemię graniczną były zawsze miejscem najkrwawszych zmagania historycznych pomiędzy szczepami, narodami, religiami czy kulturami. Nie trzeba zaś specjalnej znajomości historii,



Zachód słońca w Międzyzdrojach.

Eiectis Slavis i sierp dziejów

ZIEMIA ta graniczna, ziemia prawie najbardziej eksploatowanej na zachód Słowiańszczyzny. Toteż romantyczny patos nadaje legom nadodrzańskim, nabrzeżom portowym i równinom, pokrytym przepięknymi lasami i krasą bujnej roślinności, nie tylko dźwięk oręza dwu, walczących ze sobą od wieków, światów — germańskiego i słowiańskiego, ale także szczególne echo zmagania dwu, obcych sobie kultur. Leży tu w gruzach wiele przedziwnych eposów dziejowych — od zagłady na pół mitycznego grodu „zbójów jombsborskich” na Wołnie czy pięknej Arkony na wyspie Rugii, od najazdu Skandynawów na „bursztynowe wybrzeże”, poprzez śmiertelne zmagania nieznanych szczepów słowiańskich: Obodrytów, Wilków, Lutyków, Ranów, Słowinów, Pomorców i Kaszubów. Od Łaby przez Odrę, od Szczecina po Grunwald, od Gdańska po Stalingrad rozbrzmiewało tu jedno hasło, ujęte właśnie w dokumentach meglemburskiego kodeksu jako — *eiectis slavisi!* (po wyrzuceniu Słowian) — hasło rzucone przez hordy germańskie, prące ustawicznie na wschód po ziemię. Nie ma zasadniczej różnicy pomiędzy głosem arcybiskupa magdeburskiego Adelguta z r. 1107, wołającego „O Sasi, poskromiciele świata, tu możecie i dusze wasze zbawić i najlepszą pozyskać ziemię do zamieszkania”, a demagogicznym krzykiem Hitlera z r. 1939, zaczynającego wojnę z Polską o „Lebensraum”.

Ziemia graniczna, ziemia szczecińska i zachodnio-pomorska ulęga w ciągu wieków podbójom orężnym, nie poddała się jednak podbójom kulturalnym. Wystarczyło przetrwać kilkadziesiąt lat na tej ziemi, aby się przekonać, ile trud kosztowała uczony Niemiec, którą każdą próbą udowodnienia „germańskości” tej ziemi. Żadne z tych dzieł — czy to będzie Wehrmana „Geschichte der Stadt

Stettin” — czy Tetznera „Die Slaven in Deutschland”, czy choćby Dollena „Streifzüge durch Pommern” — nie wystarczy, aby wybrukować „kocimi łbami” dowodów naukowych tę ziemię, na której słowiańskość rozrosła się tak szeroko, w którą wrosła korzeniami nazw, pomnikami cywilizacyjnymi, tradycją i historią. Dziwnie zazenowani i nieporadni są ci autorzy, gdy przychodzi im pisać „über die alten wendischen Kastellen” albo wymienić „die Kontine des wendischen Triglaff” czy rozwodzić się o różnyh Bogislavach, Wischachach i Paulitzkich. Nie dają się, mimo wszelkich fałszów i tendencji, zatrzeć śladów prastarej kultury słowiańskiej tych ziem. Nawet stare kroniki niemieckie różnych Dytmarów, Adamów Bremskich, Helmoldów czy Saxów Grammatikusa, są tylko dowodem za, a nie przeciw słowiańskości. Dziś historia odwróciła się gwałtownie i mimo woli odstania tragiczną prawdę tych ziem. Pasożytnicze pędy niemieckiej kultury, zasadzone na glebie słowiańskiej, ścięte zostały sierpem historii. Nowa polska kultura znalazła tu wdziedzoną glebę i wyrasta potężnie na swoim naturalnym terenie.

Zapomniana pasja

RYCERSTWO Bolesława Krzywoustego śpiewało: „Naszym przodkom wystarczały ryby słońce i chmurne”. My po świeżej przychodzim, w oceanie pluskając! Przychodzimy i my dzisiaj, na szerokim 500 kilometrowym morskim szlaku po „świeże ryby”, pluskające w morzu, po mocny oddech morski, potrzebny nam po tak długiej spiekiełce lądowej. Powiedział Conrad w jednej ze swych powieści: „Wszystkie zapalczyste pasje młodości rodu ludzkiego, żądza walki i głód snu, popołu z wielką pojęcią, jaką w sobie kryje tajemnica, rozległe sny o władzy i panowaniu, przesuwały się, niczym widziadła odbite w zwierciadle, poprzez tajemnicze oblicze morza”. Tej pasji morskiej brakowało w naszej historii przez przelag wielu wieków. Z jej braku wynikała w historii narodu polskiego niejedna tragedia.

Ale morze to nie tylko romantyka conradowska. To nastrojenie duszy narodu na praktyczność i przedsiębiorczość, na handel i przemysł, to przewlekłe źródło energii na tory praktycznego, aby móc stanąć na wyższym stopniu cywilizacyjnym. Morze to przekształcenie naszego romantyzmu żołnierskiego na romantyzm pracy inżynierów i robotników. Zabiedzone gospodarstwo szcyrą łodową, rolnicy o symbolicznym radle, podziwiamy rozmach przemysłu hutniczego u ujścia Odry, egzotykę kranów i dźwignów portowych na nabrzeżach portowych Szczecina i uświadomiamy sobie powoli, że z tych elementów przemysłowo-morskich powstaje potęga gospodarcza państwa, osadzonego mocno nad morzem. Ono dopiero nadaje istotny blask czarnym diamentom kopalń śląskich, ono podwajało wysiłek robotnika i inżyniera pracującego w przemyśle centralnym Polski. Jest coś symbolicznego w tym, że wielki budowniczy dawnego przemysłu przedwojennego siedzi tutaj właśnie nad morzem, że przygotowanie na 500 kilometrowym szlaku wielki start gospodarczy nowej morskiej Polski. Jest coś symbolicznego i w tym, że miniona wojna rozpętała się o drobny skrawek morski, którego nie chcieliśmy oddać za żadną cenę — jakby czując instynktownie, że tu nad morzem zaczyna się i kończy nasz niepodległy byt.

Szlakami dymów z kominów stątków, hut i fabryk

SZCZECIN to przede wszystkim port. Ale port to nie tylko rozwiane romantycznie bandery stątków, wypływających stąd na pełne morze. Port to tylko ostatnie ognio długi łańcucha faków przemysłowo-handlowych, bez których port traci swój sens. Łańcuch ten jest bardzo długi i skomplikowany. Jego różnorodność ognia zaczeplają o fabryki i kopalnie śląskie, choć na nich nie poprzestają. Zahaczają bowiem także o fabryki kontynentu, nabierają znaczenia międzynarodowego.

(Dokończenie na stronie 8)

WITOLD WIRPSZA

Otton z Bambergu

1. Już pióro trzymam w dłoni, jak twój cień. Ani twoja infula, ani burza wiosenna, nie zdusi ziemi, aby przestała oddechać.

2. Tyle żaglowców przepłynęło ujście Odry, zagmatwane, jak średniowieczny pastorał, którym dotykałeś, którym kaziles ciężki solą morską wiatr. Miało średniowiecze. Twoje średniowiecze. Jak smutno: tyle krwi!

3. Nie mów, żeś błogosławił tej ziemi. Nie mów, żeś uświęciłeś tę ziemię. Krew z krwi twojej: Kość z kości twojej: runęli z wszystkich wież zamkowych, z wszystkich wież kościelnych.

4. Szczecin: trzymam pióro w dłoni jak twój cień. Resztki twojego posągu jeszcze trwają, a twarz twoja stara, jak twarz bożka, od którego odrwócili się balwochwalczy.

5. Ten chłopak, pięcioletni może, postępijoną koszulą ścieraający obłoki na błękit, wspomagany świstem nadodrzańskieg wiatru pędzi kijem na wprost żelazną obcę. Nad nim właśnie piętrzy się tum świętego Jakuba, także postępijoną, lecz o ileż mniej wolny, złowiony w sieć ulic święci gody swej nieruchomośc, w literę „S”. dostojnie. Leczą z zaulka, patrząc na ukos, wieża mu się wykrzywiła

6. Chłopak biegnie dalek, kręlą uliczką w górę i oto, cofając się przed nim, ujrzysz głowę jego wyżej niż wież kościelną, nad chmurą, która się w tej chwili ociera o cęgi. Teraz tamta znika i wszystko tłumaczy się jasniej.

7. Chłopak biegnie przez ulicę, pobrzękując rdzą kółka, pruje miasto, jak diabelska kula karabinowa, która nagle zamieniła się w rozbieganego chrząszczą. Im dalej od rzeki, tym więcej zieleni, miasto coraz bogatsze w kwitnące lipy. Kolo brzozy jak pszczoła. Obrazy się zacieraają, migając kłępką taśmą filmową, oglądana przez okna pociągu. A chłopak przekształca się — ramiona mu się wydłużają, brunatnieją w zielen. Brząk koła przechodzi w warkot i oto samolot odrywa się od bruku, pędząc przed sobą czerwoną banie w zachód słońca.

8. Ottonie z Bambergu? Ty też tu przywiózł Dobrą Nowinę? A przecież ten małek tam w górce ogląda tum świętego Jakuba, niby potężny hufnal, odbity w ruinie, a twej twarzy, starłej na czaszkę, nie zobaczy wcale.

9. Teraz burza nadejga, pędząc z apach lip przed sobą, a lato w całej swej pełni rozkwita różami pionurów. Już późno. Noc spada w dół, jak czarna pieść, która co chwila z hukiem uderza o ziemię. Cęgi się trzęsą po miastach. Gdzie się teraz podziął smutne nitki piosenek o mój rozmarnie rozwijaj się?

10. Struny gardel dziewięczonej ściekły jak strużki wody w grzązki pełne nasturcji otrzęsających wiatr. O mój rozmarnie, o mój rozmarnie. Oto lipcowa burza wykręca w górę rzekę i pławi port w czerwieniu. Od Świnoujścia po Szczecin okręty latają w chmurach i wody pełna jest przestrzeń, w zenicie się morze rozlało. Wtem cisza. Wiatr ustal. Za chwilę w dół wszystko spłylnie. Słowiki lato rozwina, o mój rozmarnie.

11. Smiech! Lato. Lipiec. Burza jak dekoracja. Taki jest pokój na ziemi. Takie są rzędy świateł zwiniętych w kłępek i widocznych ze statku czy z samolotu.

12. Tylko w muzeum miejskim stoi posąg Ottona. Kilka ziaren piasku wypadło mu znowu z twarzy. Tak czas pogłębia ocozoły. Smutek stąd wieje. Chodźmy.

ZALEŻNOŚCI i WARUNKI

Trzeba to przyjąć za normalne i traktować niemal jako pewnik, że jedna z najpóźniejszych form życia, jakie rozwija się w poszczególnych środowiskach i regionach z punktu widzenia czasu powstania tej formy życia, jest życie kulturalne. Dla rozwoju takiej właśnie formy życia w środowisku na Zachodzie niezbędną koniecznością jest zmontowanie innych warunków społecznych i zaistnienie możliwości normalnych warunków życia w środowisku.

Być może właśnie te momenty i pewne trudności powstające przy rozwoju ogólnym, a w szczególności gospodarczym Szczecina i regionu szcześcińskiego, wyznaczają stosunkowo skromny rozwój problematyki kulturalnej w życiu tego miasta.

Oceniając dotychczasowy wynik gospodarki polskiej w Szczecinie i dotychczasowy rozwój tego miasta, trzeba wziąć pod uwagę znaczną ilość zagadnień, dla tego środowiska zupełnie specyficznych. Różni się ono w warunkach swego działania nie tylko od miast Polski centralnej, ale również wydajnie od innych miast Ziemi Odzyskanych.

Działalność polskiej administracji na terenie Szczecina jest natomiast w stosunku do większości Ziemi Odzyskanych o około pół roku spóźniona. Szczecin, jako miasto i problem gospodarczy, był w warunkach przedwojennych w Polsce stosunkowo mało znany i opanowując zagadnienia Szczecina nie dysponowała Polska w przeciwieństwie np. do regionu mazurskiego, czy śląskiego, większą ilością ludności polskiej. Na Pomorzu Szczecińskim większe skupienia ludności autochtonicznej istniały tylko w rolniczych powiatach wschodnich — bytowski i złotowski. Stąd dodatkowo trudność całkowitego przesunięcia ludnościowego, które musiało się dokonać w rozmiarach większych, niż na innych terytoriach i w czasie krótszym. Wyniki tej działalności, trzeba podkreślić z uznaniem, są pełne. Szczecin pod każdym względem stracił jakiegokolwiek cechy miasta niemieckiego.

Szczecin w dzisiejszych warunkach jest miastem do pewnego stopnia „niekompletnym”, tego nie można podawać w wątpliwość. Brak szerszej działalności portu odbija się do głębi na życie tego miasta i w obecnej chwili jeszcze ciągle powoduje w Szczecinie pewną pustkę, jeżeli chodzi o życie gospodarcze i możliwości rozwojowe miasta.

Szczecin — znów raczej w najwydatniejszej mierze z pośród wszystkich miast Ziemi Odzyskanych — w warunkach polskich musiał dokonać gruntownej rewizji co do przyszłych swoich planów rozwojowych. Szczecin polski nie będzie, pod względem swej roli i kierunku rozwojowego, odbitką Szczecina niemieckiego, będzie nią mniej niż np. Wrocław.

Konieczność tych zmian wynika z całego szeregu momentów. Istotnym jest przede wszystkim przeprowadzenie nowej linii granicznej. Szczecin w warunkach niemieckich był przede wszystkim stolicą dla reencji zachodnio-pomorskiej, dzisiaj pozostał przy Niemczech i środkowo-pomorskiej, dzisiaj podzielonej między Polskę i Niemcy. W obecnej chwili Szczecin staje się i będzie ośrodkiem życia najbliższego regionu podmiejskiego i terytoriów na wschód od Szczecina położonych, rolniczego obszaru dawnej reencji koszalińskiej, które to terytory pod każdym względem będą musiały być zaktywizowane. Zmiana linii granicznej przesądza o nowych sąsiadach regionu szcześcińskiego. W miejsce sztucznych przedwojennych powiatach z ziemiami centralnymi Niemiec, w obecnej chwili naturalnym sąsiadem regionu szcześcińskiego i naturalnym partnerem portu szcześcińskiego staje się ziemia południowego Pomorza, Wielkopolski i przede wszystkim basen śląski. Sąsiedztwo to jest dla Szczecina niewątpliwie sąsiedztwem najbardziej korzystnym sąsiedztwem dyktowanym przez naturę, poprzez związanie z dorzeciem Odry.

Odmienna rola przypisać będzie musiała Szczecinowi, jako portowi Państwa Polskiego pierwszej kategorii. O ile w warunkach niemieckich port szcześciński był portem położonym najbardziej na wschód, o ile w warunkach niemieckich port w tej sytuacji gospodarce był portem ceryferyjnym, który utrzymywano oczywiście z pobudek raczej politycznych, niż gospodarczych, o tyle w warunkach polskich port szcześciński staje się portem największym dla utrzymywania kontaktów z Skandynawią i ze światem zachodnim, a z uwagi na rozmiar i natężenie tych kontaktów, port szcześciński staje się absolutnie portem pierwszej wagi.

Skoro w tych krótkich słowach wskazaliśmy na ogromny rozmiar przebudowy życia w Szczecinie, jaka musi się dokonać pod polskim rządem, skoro wskazaliśmy i na to, że życie w Szczecinie dziś nie jest jeszcze w pełni rozwinięte i szarmonizowane, to z drugiej strony pominąć nie można faktu, że już dziś po niespełna 2-letnim okresie ciągłej administracji polskiej na terenie Szczecina i dla odbudowy i dla przebudowy miasta i dla stworzenia miastu należytych warunków osiągnięcia w pełni należnej mu roli w systemie gospodarczym i społecznym Polski — stworzono poważne przyczółki. Przyczółkami tym są przede wszystkim normalnie rozwobudowana i opanowująca całokształt spraw miejscowych administracja państwowa i samorządowa, oraz wszechstronnie już rozbudowane, chociaż nie mogący jeszcze działać

na pełnych obrotach, handel. Jest rzeczą godną podkreślenia, że handel i przedsiębiorstwa usługowe, a częściowo nawet rzemiosło i drobny przemysł, na terenie Szczecina już oderwały się od początkowych form zacieśnianych się do produkcji i handlu czysto konsumcyjnego. Dziś, chociażby w skromnych rozmiarach, Szczecin reprezentuje już dosyć pełny wachlarz przedsiębiorczości.

Cennym wzbogaceniem życia w Szczecinie i dowodem niezależności koncepcji polskiego Szczecina od tradycji niemieckich, jest stworzenie na terenie Szczecina dwóch nowych uczelni: Akademii Handlowej i Wyższej Szkoły Inżynierii. Fakt ich zaistnienia dowodzi wyraźnie, że prawidłowo wyuczane są własne potrzeby dzisiejszego Szczecina, niezależnie od odmiennych kierunków potrzeb Szczecina przedwojennego, który z uwagi na inne rozmieszczenie ośrodków nauczania w b. Niemczech, takich uczelni nie potrzebował. Wzbogaceniem życia Szczecina na tym odcinku, będzie uruchomienie w stosunkowo niedługim czasie Szkoły Morskiej.

Skoro z rysów charakterystycznych sytuacji Szczecina można podkreślić pewną kontrastowość tego życia, to można w dalszym ciągu zarzyskować pewien paradoks, który w istocie swej jest jednak prawdziwy i realistycznie oddaje potrzeby środowiska szcześcińskiego. Pozornym tym paradoksem będzie stwierdzenie, że rozwój kulturalny Szczecina uzależniony jest prawie nieodzownie

Życie kulturalne zależy od innych wiązań społecznych — Dodatkowo trudności migracyjne — Konieczność pełnej działalności portu — Geografia promieniowania gospodarczego portu — Szkoły kalkulują przyszłość — Anemia kredytów inwestycyjnych — Zmierzch też niemieckich — Dyktando moralne.

od zwiększenia siły gospodarczej tego miasta. W szczególności coraz to wyraźniej uwidatnia się dotychczasowa słabość gospodarcza Szczecina a mianowicie zbyt słabo ożywiona działalność produkcyjna i przemysłowa. W znacznej mierze do dziś jeszcze na tym odcinku Szczecin odzuwa zle skutki początkowego, powojennego chaosu, szkodliwego szabru i lekomyślnego dysponowania mieniem gospodarczym. Stale jeszcze, mimo dalekosiężnych zapowiedzi i planów, Szczecin odzuwa anemię kredytów inwestycyjnych.

Stale jeszcze wielkie możliwości rozwojowe na odcinku przemysłowym, oraz drobnego i średniego przemysłu, tkwiące w incjatywie prywatnej — przez nieustalenie zagadnień własności — nie zostały w pełni wykorzystane. Usuniecie tych niedomagani musi być głównym celem w okresie najbliższym, a skuteczne rozwijanie tych trudności będzie progmem do nowego, coraz to silniejszego rozwoju miasta.

Dalszą zasadniczą podjętą dla tego rozwoju, będzie przejmowa-

nie portu i co jest rzeczą niestety niezbędna, wyposażenie go w większość podstawowych urządzeń.

Z też niemieckich, którymi operowali oni przez cały okres 1919 do 1939 r., jedna teza się utrzymała, a mianowicie ta, że granice polityczne Pomorza Zachodniego stanowią dla Rzeszy śpiączkę, nie wytrzymuje żadnej krytyki. Tere-ny to były ledwo samowystarczalne, pod względem rolniczym i w warunkach polskich zdolność ich będzie musiała być większa, niż w warunkach niemieckich.

I świadomość istniejących jeszcze trudności i świadomość już osiągniętych w gospodarce polskiej rezultatów i przede wszystkim świadomość roli, jaką regionowi zachodnio-pomorskiemu, a w szczególności portowi szcześcińskiemu w systemie polskim przypada — dyktują ludności polskiej, na tym najbardziej zachodnim terytorium, silną postawę moralną.

Roman Łyczewek

Perspektywa Odry



W porcie szcześcińskim przed pół wiekiem (Z „Pomarania”).

Oczywiście — słowa, powtarzane częstokroć przy podobnych okazjach banalizują się dość szybko, nabierając cech utartych frazesów, które tuż, a w końcu budzą nieufność swym sloganowym charakterem. Jednak naszych portów, takich jak Szczecin, Gdynia i Gdańsk — mimo że owija je dość już pokaźna wstęga hasel, która niejednokrotnie mieni się zbyt jaskrawymi barwami neonowych reklam — w żadnym wypadku nie można traktować jak krzykliwe reklamowanych przedsiębiorstw.

Szczecin, Gdynia, Gdańsk — to nie słowa, na temat których łatwo tworzyć chwytające masy powiedzonka — to miasta, zamykające w sobie nie tylko pewien związek z nimi ładunek naszej historii; to nie tylko obszary gospodarcze, obejmujące pewne konkretne wartości kultury materialnej, lecz przede wszystkim zbiorowiska ludzi, skupiające w sobie potencjał nowych dążeń, będących aktami woli całego narodu.

Nie będzie to frazesem, jeżeli powiemy, że Szczecin i Gdynia wraz z Gdańskiem są kłamrą, spinającą zaprzepaszczone usiłowania nielicznych, niestety, dawnych władców naszego wybrzeża — z możliwościami otwierającymi się przed naszym pokoleniem.

Musimy sobie uświadomić, że staliśmy się naprawdę narodem morskim, że nędzny skrawek wybrzeża, który pozostawił nam w spadku Traktat Wersalski, rozrosł się w mocne i zdrowe płuca narodu, pozwalające czerpać swobodnie z bogactw, jakich zazdrościliśmy zawsze Hiszpanom, Francuzom czy Anglikom. Chodzi, rzecz jasna, głównie o owo piętno, wyróżniające spośród innych te narody, które poprzez morze, kontaktujące się z całym światem, pozowały się zaściankowości i miały możliwość wyjścia poza obręb własnej, sielskiej swojszczyzny.

Dziś obca jest jeszcze przeciętnemu Polakowi świadomość metamorfozy psychicznej, którą niesie ze sobą szeroki oddech morza. Obraz knajpy portowej i intratne a łatwe handelki „na boku” przysłaniają jeszcze niejednemu obraz rzeczywistości istotnej. Dlatego właśnie poświećmy dzisiejszy numer zagadnieniom i ludziom, ogniskującym w sobie sprawy morskie w ich właściwej wadze i znaczeniu.

Dobrze jest popatrzeć czasami na wygięte szyje kranów, na stalowe szcepek dźwignów nie jak na skoordynowany system machin, wzprężniętych w mechaniczną, bezduszną pracę, lecz jak na istoty, ożywione wola ludzkich wysiłków i czynów, urzeczywistnione inaznienia wielu pokoleń.

Brutus



Już Waty Chrobrego w Szczecinie podają przechodniowi szeroki oddech morza. Fot. J. Bułhak.

Przeгляд prasy niemieckiej

Na tym miejscu zamieszczamy przedruk z bieżącej prasy niemieckiej. Celem naszego przełądu jest zapoznanie czytelnika polskiego z najcharakterystyczniejszymi głosami prasy niemieckiej, uważając, że poznanie dróg, którymi kroczy współczesna myśl niemiecka, jest obowiązkiem, wypływającym przede wszystkim z nieustającej czujności, każdego Polaka.

Cytujemy często także i negatywne wypowiedzi prasy niemieckiej pod adresem Polski i jej granicy zachodniej. Wypowiedzi te, wypływające albo z niewyśagatego szowinizmu, albo też z metody operowania fałszywymi argumentami, są cennym przyczynkiem do historii niemieckiego wstępnictwa i dopiero one pozwalają właściwie ocenić zachwalaną przez niektóre organa niemieckie „demokrację” Niemiec powojennych.

Die Kirche

Berlin (str. amer.)
Nie tylko o nędzy samej trzeba mówić. Zna ją każdy, albowiem jest niewyodreżniona wielka. Z powodu niej cierpią starzy i młodzi. Recepty na uporanie się z nią rosą jak grzyby po deszczu. Tworzą się partje, te tworzą programy, odbywają zgromadzenia, werbują członków, a każda z tych partji jest przekonana, że jej droga najpewniej prowadzi z niemieckiej biedy. Dzień niki roją się od projektów. Wiele rzeczy dobrych i uzasadnionych powiedziano publicznie i w kołach prywatnych. Wypowiadali swe sąg mężczyźni i kobiety o bogatym i świadczym. A przecież! Czy nie przelicza się przy tym spraw, których nie chce się pisać i nad których rymy przechodzi się do porządku dziennego, które jednak w żadnym wypadku nie zostały zalutowane, a w jakiej mierze nie w tej mierze, w jakiej wymagało by tego dobro narodu niemieckiego?

Z pewnym chłopcem, który co dopiero wyrósł z lat szkolnych, prowadzona jest rozmowa o przewrotności kłamstwa i o potrzebie prawdomówności. Ten jednak zbywa wszystko słowami: „Prawdę mówią tylko dzieci i głupecy”.

Na stacji granicznej pomiędzy Niemcami, a którymś z małych wschodnich państw sąsiednich stoi przy budce granicznej niemiecki podróżny z ciężkimi pakunkami. Wszystko ma przygotowane do przejścia granicy, brakuje mu tylko paszport. Podróżny musi się poń wrócić. Z westchnieniem chwytają walizkę; nie ma odwagi zostawić jej samej. Obokokrójow urządźnik radzi mu walizkę, koc i parasol postawić na boku: „U nas (urządźnik to akcentuje) nikt tego nie zabierze.” I rzeczywiście, kiedy podróżny po jakichś siedmiu minutach wraca, stoi jego własność nienaruszona, pomimo że tymczasem nadjechał pociąg i setki ludzi przeszły obok pakunku. Czy urządźnik na ruchliwej stacji w Niemczech ośmielił się dać komus taką samą radę? I czy by ktoś w Niemczech takiej rady posuchał? Kłamstwo i podstęp, brak zaufania i rzetelności są u nas daleko rozpowszechnione! Nie mówmy, że to samo odnosi się także do innych narodów. Zbrodnicę, której ty się dopuszczasz, nie usprawiedliwiała to, że inni ją też popełniają. Nie mówmy też: „Tutaj prawi nie mamy prawic moraloów? Człowiek bez moralności jest goźden pogardy, naród bez moralności jest chwiejny i bezsilny.”

Czas, który leży poza nami, nie słychanie nas sobą obarczył. Systematycznie podkopowano prawd-

mówność i rzetelność, uczono obłądy, podstepu i kłamstwa. Czyż mogło „szpicelstwo”, które panoszyło się w partii, a także już i w jej organizacjach młodzieżowych, przynieść inne owale? Jakkolwiek pod niebiosą wychwalano koleżeństwo, jakkolwiek bardzo (przynajmniej do czasu) kładziono nacisk na życie rodzinne, nie istniała żadna społeczność, która by celowo nie była zagrożona. Wiele godni rodzice byli przez własne dzieci z powodu ja-kiejś nie całkowitej wadze złota sprawzonej wypowiedzi, która padła w ścisłym gronie rodzinnym, stawiani przed sąd. Pracobiorca mścił się na pracodawcy, od którego usłyszał jakieś nierozważnie w gnieusny wypowiedziane słowo. Szczera przyjaźń i prawdziwe koleżeństwo nie mogło w takich warunkach istnieć i wcale sobie tego też nie życzyono. Tam też należy i zakaz mówienia czegokolwiek niekorzystnego na temat partii. Czestokroć mniej był karany występek członka partii, jak doniesienie o występiek partyjnym w wypadku, gdy było ono odczone tajemnicą. Stworzono sądy członków partii przesłuchiwanym w charakterze świadków, zobowiązwanym ich pod groźbą ciężkich kar do absolutnego milczenia wobec osób trzecich, po części zaprzysięganym ich. Cała ta praktyka była o tyle fatalna, że przysięgi w potworny i dotychczas w narodzie niemieckim nie spotykany sposób nadużywano. Zbierano kolumny SA i inne organizacje w tysiącach tłumach i żądano od nich przysięgi wierności dla fuhrera. Zmuszano cternastolatków przy wstepowaniu do Hitlerjugend i Bund Deutscher Madel do tej samej przysięgi i kazano nawet dziesięciolatkom składać podobną przysięgę, albo uroczyste przyrzeczenie, a więc dzieciom, które wcale nie rozumiały

znaczenia tego, co się działo. Zgola nierozumiałe jest, że niemieccy rodzice i wychowawcy, a przede wszystkim także władze kościelne nie podniosły głośniejszego protestu. Ale to wszystko nie charakteryzuje jeszcze w dostatecznym stopniu zastraszonego zanikania myślisz prawdómówności. Jak słysząc obecnie, zdardało się, że przysięga wierności była składana nie z zamiarem dotrzymania jej, ale przeciwnie w tym celu, ażeby przez nią osiągnąć przychodzący do organizacji, w tonie której — jak sądzono — można było lepiej niż nazwaczniej pracować na szkodę ówczesnego reżimu.

A jednak, kłamstwo niszczy, prawda buduje. Kłamstwo jest siostą złego, kłamstwo czepia się wszelkiego zła; albowiem zło szuka zawsze dla siebie kryjówki. Prawdomówność i rzetelność są fundamentami wszelkiego współżycia. Prawdomówność jest konieczna we współżyciu pomiędzy partiami, jeżeli naprawdę chcą one służyć dobru społeczeństwu. Prawdomówność i rzetelność niezbędna jest między pracobiorcą i pracodawcą, jeżeli chcą oni to dzieło, nad którym obaj pracują, doprowadzić do tej wysokości, do jakiej obaj dają. Im mocniej ma się ukształtować współżycie pomiędzy ludźmi, tym bardziej potrzebne ono prawdomówności. Jak mają mężczyźni i kobiety, rodzice i dzieci miłować się i czeić, trwać razem w cierpieniu i radości, jeśli nie panuje pomiędzy nimi prawdomówność i szczerść? W jaki sposób ma się pogłębić współżycie i przyjaźń, jeżeli słowa, które są zamieniane, nie pochodzą ze szczerzego serca.

Zaprawdę, nie może naród wyjść ze swej biedy, jak tylko przez prawdę. Ażeby ją urzeczywistnić, nie jest koniecznym czekanie na konferencje i uchwały. Każdy ma natychmiast od niej zacząć... (Artykuł: „Aus der Tiefe der deutschen Not“.)

Tu jest Ojczyzna moja i dom mój: Pomorze.
W mrokach kościelnych pełnią kamienną straż
Wysmukli święci,
Jakgdyby żywi i jeno zakłeci.

Tu jest Ojczyzna moja — oczy jezior
Z zielonych źrenic na mnie spojrzaly.
Morze swych długich włosów srebrnych kędziór
Tuli do wydmn białej;
A do mych nóg tulily twarz rumiane wrzosa,
Gdym u drzwi twoich stanął bosy.

Do ciebie przystępuję tak jak do ołtarza,
A pocałunek twój jest jako hostii dotyk.
Gdy z kadziliśmy wion się obnaż
Palców twych goty.
U drzwi twoich stoję — w rude mury wpina
Peki jaskółek błękitną godziną.

Nogi me starte w dróg dalekich pyle:
Tyle was było nieprzyjaznych dróg,
Tyle zamkniętych twarzy, drzwi zamkniętych tyle —
O, gdybym mógł
We Wiśle teraz, czy w tańczącej Drwęcy,
Tak jak w Jordanie uświecić swe ręce...

Tu jest Ojczyzna moja, tu mi spocząć każ.
Tu chcą na brzegu śnając i długu patrzeć na morze,
Niech się uśmiechnie twoja święta twarz
Pod wieżą śniadych chmur, Pomorze.
Jam przecież jest z tej gleby — gleba dała kłosy —
A moje dłonie pulsę: — jam wędrownik bosy.

Tu, kiedy potop wszystkie brzegi rwał,
Pierwsza zakwitła tęcza.
Pod jarmzem tęczy, co szalad i rzał,
Bałtyk przystanął, schylił się i kleczał.
O, rozwiń tęczy wstęgę kolorową,
O, zwiąż nia serce moje, zwiąż na nowo.

W kościołach twoich spokój gości;
Cisza stanęła pod sosną i czeka;
Spojrzenie pełne miłości
Drży w twoich kamiennych powiekach.
I wieczór do mnie czoło swe zgina —
Błogostawiona błękitna godzina.

Wieczorów twoich spokoju mi daj
I wróć mi gwiazdę noją, te z przed laty —
Tu jest Ojczyzna moja, tu mój Święty Gaj,
Gdzie zabrzmiały pierwsze organne roraty,
Gdzie serca zmartwychwstaną i pacierze
I kiedy zmartwychwstanie słowo „wierze”.

(Artur Maria Swinarski: Pomorze)

GODZINY MYŚLI i CHWILE WZRUSZENIA



W rzece Inie przeglądają się ruiny Stargardu. Fot. J. Bułhak.

Wielkie wyjście

„Wielkie wyjście!”
Tym zwianem rozpoczyna się każdy nasz dłuższy postój.
Z pudła „Citroena” wysuwają się schodki, po nich zstępują prof. Karol Górski, prof. Florian Barciński, dr. Slaski i red. Kitzman, a z szoferki, z mapą w ręku, podchodzi do swej gromadki kierownik naukowej ekspedycji Instytutu Zachodniego, redaktor „Monografii Pomorza Zachodniego”, dr. Janusz Deresiewicz.
Ceremoniał „wielkiego wyjścia” powtarza się wielokrotnie w ciągu tych dwóch tygodni, na trasie 3.000 km. Te dwa tygodnie to już kalejdoskop a po prostu natłok wrażeń, rozmów, obserwacji. W różnych Sławach, Walcach, Swidwinach, Dębnach i Kolobrzegach, w małych, wiejskich i namniejszych miasteczkach i osiedlach członkowie ekspedycji to rozbiegają się pojedynczo, to ciągną po dwóch, po

trzech, by coś sprawdzić naocznie, dowiedzieć się czegoś lub pokazać.
Czasem idziemy wszyscy razem pod przewodnictwem prof. Barcińskiego. Zwiedzenie zakładów przemysłowych ma charakter szeregobitego nabożeństwa. Szczegółowe techniczne i cyfrowe, studia produktowe kapelusza i pluga, kutra i „kożłaka” potczyńskiego interesują zarówno historyka jak ekononmistę, reportera i fotografa.
Dzień pracy ekspedycji, przerywany „małymi wyjściami” dla krótkiego przygodnego wywiadu lub migawkowego zdjęcia, kończy się przed bramą hotelu „Wyjście generalnym” z bagażami odzyna się chemia we wnetrznościach, okłamywanych sacharkiem, bułką czy landrynką — „lizawka”.
Prof. Barciński żartobliwie stwierdza, że po zakończeniu podróży, będziemy jedynymi znawcami zagadnień Pomorza Zachodniego. On chyba tak, gdyż gospodarze zagadnienia zna jak nikt, ja — nie. Ale to nie zmniejsza mojej radości, że mogę wiedzieć jak na „ziemi nagromadzonych prochów” rozdzielić w upartym wysiłku nowe życie.
Wrażenie goni wspomnienie wrażeń. W grubym brulionie roślinie liczba zapisanych kart....

Sprawa czteroprzemiotnikowa

Józef Kisielski, wędrujący po tych ziemiach na krótko przed wojną, pas od Lęborka po Pile nazywa „krwawym pasem polskości”. Krwawił on też istotnie obficie. Wyciekały zeń żywoty na tamtą półkule, pod Ottawę i do Minnesoty, mnożyły się nagrobki.... Działy zostały tylko skrzepy. Autochtoni przestali być „modni”, o autochtonach nie pisze się.

Popłoch w ekspedycji

Pewnego dnia podróży prof. Górski i Ministerstwo Przemysłu wywołał wśród członków ekspedycji popłoch — panikę, zgrozę i oburzenie. Prof. Górski przeczytał apel Ministerstwa, wzywający młodzież do zbiórki wszelkich druków niemieckich, aktów, papierów, i przekazywania ich do zbiornika z przeznaczeniem do „natchmiałowej przeróbki”.
Ileż już cennych dzieł rozszarobowano z bibliotek! Ile wyrzucano na ulicę, w ogródki, na śmiećnik?

Te zostały stracone już bezpowrotnie. Ale ileż bezcennych źródeł i materiałów do badań spoczywa w lochach czeluchowskiego zamku? Wejście do podziemiennych ryzarów, łączących podobno siedzibę komturów krzyżackich z Dębnem 14-metrową czeluszą, papiery wypełniają po brzegi. Już teraz karty ksiąg parafialnych szeleszczą wśród zwiednych liści parku. A co się stanie, gdy znajdzie się jeden czy drugi gorliwiec i postara się o przekazanie tego bezwartościowego dlań stosu do „natchmiałowej przeróbki”?

Idylla

W zachodnich i środkowych powiatach, dotąd bardziej zaniedbanych pod względem gospodarczym, płoną trawy na ugorach. Wiosenna akcja siewna jest w pełnym toku. Z szosy widać zaprzęgi, idące przed plugiem czy broną, po jednym... po kilka. Miedzy Chojną a Dębem oczy radują się nowoutki traktorów z wełsami, indycym gulgotaniem ciągnących po pagórkowatej niwie. Po polach snują się mundury osadników wojuszkowych. Przesiedleńcy z Mazur sadzą las pod wsią Brzozowa. W Białogardzie św. Antoni stoi w kościele na tle pasiaków wileńskich. W samym

racie Szkolnym w Swidwinie lub w Szkole Powszechnej w Baniach. Wiele druków ciągle zdanych na łaskę i niełaskę losu, który kopie je nogami przechodniów, pozwała zawiązać masło w karty atlasów, lub szyć płomieniem trawiącym do dna stare druki na plebanii w Baniach.
Istnieje obawa, że niekontrolowana gorliwość nie zaważa się nawet przed zamachem na zbiory już zabezpieczone, jak to podobno miało miejsce. Taki stosunek do książki nie tylko szkodzi przynosi ale i wstydz. Więc zbierać — oczywiście! — ale przed oddaniem do przeróbki dokładnie zbadać i przez segregować.

Thalassa! Thalassa!

W Lublinie, wysoko nad Zalewem Szczecińskim, na szczycie kilkunastusetmetrowego urwiska — gaszcz tarlini. Rosną na jaskiniach pagórkach, stojących wieńcem, niby wały grodziska. Sylwetka prof. Górskiego, badającego teren, zdradza żywe zainteresowanie charakterystycznym układem pagórków. Przysiętu specjalista prehistoryka.
Kolega Kitzman biada, że jest już niestety późne popołudnie... Światło... To tyran obiektowy fotograficzny.
Mgła wstaje od wód. Wzrok sięga daleko na południe, zachód i północ. W pogodne dni widać stąd Szczecin i Swinoujście. Zalew Szczeciński to przedsiobek otwartego morza.
Morze. Od Leby po Swinoujście — porty, stocznie, wędzarnie, sieci, jedno- i dwumasztowe kutry. Kłopoty, troski i radości.
Stłusk swe nadzieje na przyszłość opiera na dalszym rozwoju rybołówstwa, pirtu i letniska w Uście. Sławno szczyty się kapitanem Juszczykiem, Wiczem i jego stocznia w Derlowie. Kolobrzeg ma zaroić się 120 kutrami rybackimi. W Dziwniej na kanale szczytni kolysze się male cudo — nowy stateczek pasażerski miejscowego Wydziału Powiatowego. W Swinoujściu naprzeciw wraku lotniskowca stoją na cumach jednostki polskiej marynarki wojennej.
Moło w Międzyzdrojach. Wjeźdź. Gdzieś w dół na lewo zapala się i gaśnie światło. To Swinoujście. O tej porze na całym pa się wybrzeża aż po Elbląg tak samo mrugają soczewki latarni morskich. Tymczasem w małej wiosce rybackiej kończy się rozważanie sieci. A tu pod nogami „szczurów ładowych” o słupy podpór z szumem rozbijają się fale. Nad morze! Niech ruszy „Strzała Bałtyku”, zadudni pociągi popularyne, zaroią się letnikami Uścia, Derłówek, Chorzewo, Nowa Rzeka...
Fale i mrugania latarni morskiej wołają o wielką, gorącą pagandę piękna pomorskiego wybrzeża.

Chwila dedykowana Filmowi Polskiemu

Zanoszą się pracą gnaty tartaków, wirują wrzeczona tkalni, przez ulice Koszalina przechodzi starszuszka z koszowatkiem... Pracują w fabrykach powiaty Łobez, Stargard, uczy się Bytów, orzą Pyrzyce. A nad wszystkimi zakładami przemysłowymi Pomorza Zachodniego królkuje Huta „Stołczyń”. Przez okienka wzmierzonych widać już żar rozpalonego wnętrza.
Taśmę obrazów Pomorza można by tak rozwijać niemal bez końca. Czemu Film Polski nie nakreślił dotąd całego szeregu krótkometrażówek? To trzeba zrobić, panowie! Nie — „Zakazane piosenki” a — port szczeciński garbarmię w Białogardzie, Dom Dziecka w Sławinie, robotnicę z Łodzi i górnika z Dąbrowy Górniczej w Centralnym Sanatorium w Polczynie, naprawę mostu na Słupie, stare okopy pod Dziwną i w łasku, obok zniszczonej fabryki benzyny syntetycznej w Polickich, krzyżki na grobach jeńców i przymusowych robotników Polaków, Francuzów, Belgów i Czechów. Zaniechane... Zapomniane... Tuż pod bokiem Szczecińskimi.
Takie jest Pomorze... pełne dawności i nowości, pełne blasków i nie pozbawione cieni.

Do żniw zasłoni go zupełnie

I przypomina się stara legenda spod Kolobrzegu o rogu, który kapłani Pomorzana za świętą narodową uważali. Gdy szczęście wojenne odwróciło się od nich, ostatni arcypłaplan przed śmiercią na stosie róg ten powierzył morzu. Fale Bałtyku rozspłazyły się i zawarły...
Ilekróć słyszę ryk syren statków, zdaje mi się, że to huczny ów róg ustokrotniony, spotęgniały potęgą Bałtyku, nawołujący do wysiłku setki i tysiące ramiom.
Z prochów nagromadzonych w tej ziemi, jak Feniks z popiołów, wyrasta nowe życie. Na polu stoi strzaskany czół. Wokół niego zieleni się młoda ruń oziminy. Do żniw zasłoni go zupełnie.

Walerian Lachnitt

TADEUSZ WIECZOROWSKI

Wolin domaga się łopaty prehistoryka polskiego

PRZESZŁO 300 lat toczył się spór między historykami o miejsce położenia bajecznego miasta Vineta. Badano odośno źródła historyczne na wszystkie strony i obecnie, zdaje się, wyczerpano już wszelkie możliwe sposoby dalszej ich interpretacji. Przyjmuje się powszechnie, że nazwa Vineta, występująca w Kronice bozowskiego proboszcza Helmolida (Chronica Sclavorum) przedstawia zniekształconą nazwę Jumne, przekazaną nam o 100 lat wcześniej w Kronice Adama Bremeńskiego. Zniekształcenia nazwy mógł dokonać przepisywacz, któremu chodziło o nadanie nazwy łacińskiego brzmienia i z Jumne zrobiono IVMNETA, z czego wsku tek przedstawienia litery I powstała nazwa VIMNETA — VINETA. Również nazwa Jomsborg odnosi się do Jumny. Więc Jumne, Jumnetta (Vineta), Julin — Wolin to różne nazwy dzisiejszego Wolina, położonego na południowym skrawku wyspy Wolinńskiej.

ku Polski posiadają dla poznania kultury wczesnohistorycznych Słowian wielkie znaczenie. Tu mamy jedyną możliwość wyjaśnienia zagadnień wzajemnych wpływów kulturowych, wynikłych z współ-

nień. Cała osada obejmuje, nie licząc powierzchni cmentarzysk, około 50 hektarów, t. j. 500.000 m², z czego do końca roku 1938 odkryto 2.000 m², w tym 1.500 m² przypada na badanie cmentarzyska

publikacji niemieckich, ponieważ cały materiał zabytkowy, jak rówież liczne plany, filmy itd. z prac wykopaliskowych przepadły podczas zawieruchy wojennej.
Wobec tych faktów Wolin domaga się łopaty prehistoryka polskiego. Wznowienie prac wykopaliskowych staje się sprawą doniosłego znaczenia pod względem naukowym jak i propagandowym. Jednak przystąpienie do tych prac nie jest sprawą prostą, bo tak poważny obiekt archeologiczny jakim jest Wolin, wymaga całego sztabu prehistoryków, kreślarzy i innych wykwalifikowanych sił pomocniczych. Szeregi prehistoryków polskich zostały podczas okupacji zdiesiątkowane. Toteż do badań prehistorycznych w Wolinie przystąpić może tylko ośrodek naukowy uniwersytecki, który mógłby powołać do tych prac prehistoryków z innych ośrodków naukowych polskich. Poza osadą wolinską pozostały by

jeszcze do zbadania grody położone w pobliżu Wolina.
Tu w Wolinie jako emporium handlowym zbiegają się interesy polityczne polsko-pomorsko-duńskie i skandynawskie. Wolin jest dokumentem zmagania się Słowian wczesnohistorycznych o przodownictwo na Bałtyku. Już w zarniu naszych dziejów widzimy troskę pierwszych władców piastowskich o zabezpieczenie tego skrawka ziemi polskiej. Zapewne ryccerstwu polskiemu nie można by włożyć w usta odpowiedzi, którą Captain daje Hamletowi „Truly to speak, and with the addition We go to gain a little patch of ground, That hath it no profit but the name” (By prawdę rzec i bez upiększeń, idziemy zdobyć małą piedz ziemi, która nie daje zysku, lecz chodzi o imię).
Podobnie jak Polska piastowska, tak i my dzisiaj, widzimy tu nasze żywotne interesy.
Tadeusz Wieszczowski.



Wypokaliska Wolina, przedstawiające fragment osady z 10 wieku. Na wprost rynek, z lewej uliczka

Muehlenbergu, a więc tylko 500 m² przypada na badanie osady. Jakaż to znikoma mała powierzchnia w stosunku do całości osiedla, które ciągnie się na długości 3 km! Nie pozostaje jeszcze do odkrycia! Przy tym uwzględniając grubość warstw kulturowych, które ciągną się w głąb na 6—9 i więcej metrów, jest to więc obiekt wielowarstwowy. W wykopie na rynku w Wolinie wyodrębniono 15 warstw!
Badania wolinśkie znalazły przed wojną w Polsce żywy odźwięk. Teren wykopalisk zwiedzili prehistorycy jak również niektórzy historycy polscy. Szerokie społeczeństwo zainteresowało się książką Kisielskiego „Ziemia gromadzi prochy”, jak i wykładami prof. J. Kostrzewskiego. Również temat słowiańskiego Wolina znajdujemy w literaturze polskiej np. w niedawno wydanej trylogii powieściowej Władysława Grabskiego „Saga o Jarlu Broniszu”. Temat o Vinecie wykorzystali w muzyce Feliks Nowowiejski i w legendzie „Bałtyku”.
Jakie jest ustosunkowanie się prehistoryków polskich do kontynuacji badań prehistorycznych w Wolinie? Zapewne nie znajduje się w Polsce prehistoryk, który by ten doceniał wartości naukowych tych badań, tym bardziej, że wyniki badań ogłoszone przez Niemców w sprawozdaniach są niewspółmierne do tego co odkryto a nie opublikowano. Zapewne też nie doczekamy się już dalszych

RYBY

Polska spożywa obecnie 75.000 ton ryb morskich rocznie. Własne połowy osiągnięte w roku ubiegłym 24.000 ton, — a więc przeciętnie 50.000 ton musieliśmy sprowadzić z zagranicy, obciążając nasz budżet państwowy.
Tymczasem szeroki dostęp do morza, bliskość obfitujących w ryby Morza Północnego, wreszcie najbliższe teryny Bałtyku z powodzeniem mogą zaspokoić nasze rybne wymagania, zaozczędzić poważne sumy w imporcie, dać zarobek tysiącom rybaków.
Dlatego też na rozwój rybołówstwa władze państwowe zwracają dużą uwagę, popierając osadnictwo rybackie, rozbudowując bazy i porty, dostarczając tabor, organizując zbyty ryby.
Pomorze Zachodnie — obok województwa gdańskiego ma dzięki długiemu wybrzeżu morskemu znakomite warunki rybołówcze. Są tu dwa zasadnicze teryny o odrębnych warunkach: — jeden to wybrzeże morskie z bazami rybackimi w Swinoujściu, Wolinie, Międzyzdrojach, Dziwniej, Derłowie i Kolobrzegu, — drugi zaś to Zatoka Szczecińska z osadami rybackimi w Nowym Warpnie, Trzebieży, Lubinie i Międzyzdrozach.
Port szczeciński stanowi odrębną bazę, przeznaczoną na połowy

dalekomorskie. Flotylla dalekomorska w ilości około 100 kutrów będzie stąd wypływać na wody



Rybak z Pińska, teraz w Międzyzdrojach. Fot. J. Bułhak.

Kutry rybackie na Zatoce Szczecińskiej

Połowy rybaków pomorskich w okręgu Morskiego Urzędu Rybackiego w Szczecinie wyniosły w kwietniu br. 192.000 kg wartości 8.700.000 zł. Głównie łowiony jest dorsz, następnie płocie, leszcze, sandacze, szczupaki.
Tabor rybacki stał się ulepszony i obecnie czynnych jest 23 kutry motorowych i 160 łodzi wiosłowych. Prawie drugie tyle kutrów i łodzi jest w naprawie.
Rybołówstwo polskie jakkolwiek borykające się z ogromnymi trudnościami, dostarczyło w roku ubiegłym prawie dwa razy więcej ryb niż przed wojną. — Jest to już wynik bardzo dobry, zwłaszcza że rybaczy nie mają częstego odpowiedniego sprzętu, nie są dobrze wyszkoleni, nie znają jeszcze nowych dla nich terenów.
Dalszy rozwój zależy przede wszystkim od propagandy spożycia ryb i od organizacji rynków zbytu. Ryba może w znacznym stopniu zastąpić drogie mięso i stać się popularnym i zdrowym pokarmem. Spożycie ryby w Polsce na jednego mieszkańca wynosi 2—3 kg, kiedy w Związku Radzieckim siega 25 kg, a w Norwegii nawet 40 kg.
M. K.

Oblicze kulturalne



Bogusław XIII (1544 — 1606), książę szczeciński, który wiele dobrze miastu wyświadczył. (Podobizna ze zbiorów Muzeum Miejskiego w Szczecinie.)

TEATR

Początki teatru szczecińskiego wiążą się z ambicjami pewnych kół kulturalnych, aby w mieście tak eksponowanym pod względem gospodarczym i politycznym, a ubogim w życie kulturalne, stworzyć jak najszybciej przynajmniej namiastkę teatru zawodowego. Tak powstał Teatr Mały 26. XII 1945 r., jedna z pierwszych placówek artystycznych w Szczecinie. Był on na prawdę „mały” pod względem technicznym i teatralnym. Mała scena, a raczej scenka i mała widownia na 250 osób oraz brak sił fachowych tego na pół amatorskiego, na pół zawodowego teatru utrudniały i tak już ciężkie warunki pracy. Teatr ten nie miał i dziś jeszcze nie ma wysokiego poziomu artystycznego, jednak w tak zwanym „pionierskim” okresie spełnił dużą rolę w teatralnym wychowaniu widza. Jego centralne położenie w mieście gwarantuje mu jeszcze dziś pełną widownię. Z biegiem czasu podniósł się poziom gry, mimo że jest to wciąż jeszcze mniej niż średni poziom. Teatr Mały dał dotychczas 12 premier, z tego 10 polskich, co świadczy dobrze o przemyślanym repertuarze. Wystawiono dotychczas: — „Grube ryby” Bałuckiego — „Kobieta, wino, dancing” Kiedrzyńskiego — „Majster i czeladnik” Korzeniowskiego —

„Walący się dom” Szczepkowskiej — „Dwadzieścia dni kozy” Henne- uca ub. r. nastąpiło otwarcie Teatru Polskiego przy ul. Swarowicza — pierwszego zawodowego teatru polskiego na Pomorzu Zachodnim. Kierownictwo powierzono znanemu reżyserowi i aktorowi p. Bronisławowi Skąpskiemu. Inaugurację rozpoczęto „Damami i Huzarami”. Po kilku spektaklach jednak (Moralność pani Dulskiej — Manewry miłosne — Roxy — Mysz kościelna) padł grom z jasnego nieba Ministerstwa Kultury i Sztuki. Nieuzgodnione z wczasu stanowisko Warszawskie i Szczecińskie co do osoby kierownika teatru oraz pewne niewyjaśnione po dziś dzień ambicje personalne, spowodowały usunięcie Br. Skąpskiego z dyrektorstwa Teatru Polskiego i przedwezne sprawozdanie części zespołu teatralnego ze Lwowa pod dyr. Sylwestra Czosnow-



„Produkcja pana Brandta” Rojewskiego w Teatrze Małym. Na zdjęciu od lewej strony: Balcerakówna — Czabanowski — Zieliński — Karska.

Z czym Szczecin walczy

Tajemnicza historia o pierścieniu z „cnym topazem”

Z odejściem p. Grzybowskiego, słynnego pogromciana Moliera, Zapolskiej i Rostworowskiego ze Szczecina, nie skończyły się jednak wszystkie „cierpienia twórcze” tych, co to koniecznie „muszą” pisać, nawet kosztem zakłócenia spokoju bliskich. Na firmamencie nadodrzańskim zabłysła nowa gwiazda — tym razem poetycka. Wprawdzie o jej istnieniu ludzie w tajemniczości w zagadki tworzą Szczecińczyki, tak się jednak złożyło, że dopiero teraz gwiazda ta „ujawniła” się w całej pełni. Wiedzieli zaś ludzie dlatego, że ta gwiazda, rodzący ją męski, niepokoiła wszystkie redakcje tutejszych pism — nie wyłączone szczecińskie eteru radiowego — za pośrednictwem innej, tym razem żeńskiego rodzaju, „gwiazdy” poetyckiej, nieco skromniejszego kalibru. Obie te gwiazdy — męska i żeńska, osiadczyły w tym samym światłem reklamy pierwszorzędnej jakości, krążyły niespokojnie po firmamencie szczecińskiego życia kulturalnego szukając miejsca, z którego mogłyby porazić bliskimi szeptem wielkości nie uświadamionych o ich istnieniu Szczecińczyków. Wreszcie konstatacja ta znalazła się w szczęśliwym skrzyżowaniu komunikacji. Oto żeńska gwiazda została kierowniczką wydziału kulturalnego pewnej, sympatycznej zresztą, organizacji młodzieżowej i za pieniądze tej organizacji wydała swemu męskiemu satelicie tomik wierszy, pod zachęcającym tytułem „Na burzystynowym brzegu”.

Właściwie można by sobie darować omawianie tego „burzystynowego” tomiku, gdyżby nie to, że nasza gwiazda szczecińska, żeńskiego rodzaju, naciągawszy sympatyczną organizację młodzieżową na wydanie kilkudziesięciu tysięcy złotych, zapowiada w burzystynowym, wieszczym zapale wydanie dalszych — i to „niebawem”. . . . Płodów swego bardzo witalnego pod względem poetykimi ducha. A przecież te publiczne skądinąd, pieniądze, bardzo by się kochanej młodzi szczecińskiej przydały na „dokształcenie wszystkich umysłowych zalet” w okresie okupacji. Naturalnie, ów „burzystynowy” utwór męskiej gwiazdy poetyckiej „opiewa” wszystko, co związane jest z morzem i tutejszą krajiną, a więc „rusalski” nadodrzańskie, „Marzanny”, „Dadźbogi”, „Swantevity”, bitwy bogów germańskich z ścią rodzimymi, słowiańskimi, „Chramy”, „rubiście piastowskie”, „szlaki”, przy czym nie zapomina „nawet o „dziwiacach” przedhistorycznych, „pląsających” nad Odrą, ani o Bolku Krzywonosym, którego autor w burzystynowym uniesieniu zrobił „królem”. Można by to jednak darować młodemu autorowi, który podobno jest nauką historii, jak również amicus inveni w tym samym „burzystynowym” tomiku, zamiast na Wolinie, gdzie by jego przekora w stosunku do języka polskiego. Oto np. opiewa autor taką burzystynową polszczyzną pewien historyczny fakt. Najpiękniejszy to w dziejach Dzień po strasznych zawiąch — Tysiąc rok sto dwudziesty szczeciński!

Albo nieco dalej:
Odkąd Zachodnie Pomorze
W niewoli niemieckiej gorze.
Odkąd germański morderca
Techną nieczny duch w polskie serca!

Ten „nieczny duch” polszczyzny pokutuje w wielu miejscach 71 stronicowego tomiku. I to jednak można by darować autorowi. Zadna miara jednak nie można mu darować „dziwiac”, błądnącej się „Kazdęgo wieczora” nad Odrą. Wprawdzie dziewczęta to niezwykle piękna, że pale liczą.

Wygładą we mgłę, jak zorza,
Idąca spać na dno morza.
Ach czemu, dziewczeco, płacze?
Życie ją gnębi tulacze?
Zali po stracie kochanka?
Nieszczęsna w kajdanach branka?
Och, nie po stracie kochanka słońca
Dziewięć przeczadająca się z

„wiatrem”. Wyższe jej przyswiecają celem
Autor nie omieszkał nam tego zdradzić na str. 36.

Tutaj przed ósmią wieki Przejżdżając brzegiem rzeki W świetnym otoczeniu dworzan Książ Bogusław, duk Pomorzan Zgubił pierścień z cnym topazem W którym rubin błyszczał razem... Dziewczyzna tego sygnetu Daremnie wśród oczerzetów Szuka i szuka lat wiele...

Biedna dziewczyno, szukająca „pierścienia z cnym topazem, w którym rubin błyszczał razem” nie jest jednak jakąś prehistoryczną szabrowniczką, o nie! Ona chce zbawić „duksa” i Polskę za pomocą tego sygnetu! Ponieważ jednak „oczerzety” nadodrzańskie są bardzo gęste, nie może go znaleźć i z rozpacz autor każe jej zejść na dno Odry. Sam zaś maluje barwiste straszne rzeczy, które wymykają ze zgrubienia tego pierścienka. Oto:

Wikingów zbrojąc wylegi rój! Do walki, Polsko, spiesz na bój! Wolin zaulf pieczy twej — Szczecin się ostał doli złej — W Oznam swobodny jantar lśni — Czemuż, o Polsko, milczysz ty! Nikt nie może pojąć tego milczenia, nawet autor, toteż wyznaje, że jego zrozpaczony „duch oszalał”. Wierzymy w to chętnie nawet bez zapewnienia autora. Szkoda tylko, że

Opisawszy nam te wszystkie „grzeszne niepokojące” czary meżów, oraz figle-migle Tryglawa z Wineta, kończy wreszcie swą opowieść wzniosłymi słowami:
Tak zginęła Wineta od gniewu Tryglawa...
Los jej straszny opiewa wszech-wiedząca sława —
A myśmy myśleli, że to autor opiewa, a nie „wszechwiedząca sława”! Nie należy jednak myśleć, że autor jest zarozumiały ze swego dzieła. O nie, on jest skromny jak przystało na wieszca. Wyznaje z otwartością godną pochwały:
Jakem ja mały przy potędzie, Zakleję w morza grzmięcą falę! Obraz jej podać pragnę w księdze
A tylko niemoc w niej się żali...
Tak, w tej „burzystynowej” księdze

Chwytać pierścień szukany — Oto się klątwy okres już dokonał! Ostatnie grzmą tarabany!

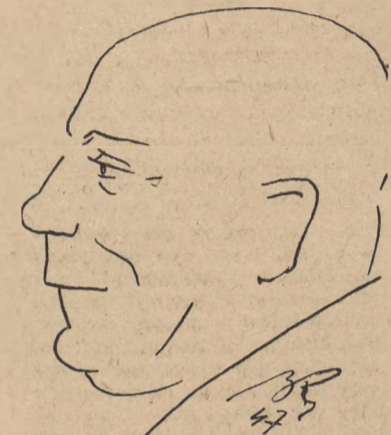
Wszystkie „czwartki” zorganizowano własnymi siłami. Z zewnątrz, mimo licznych zaproszeń do „rubiście ziemicy piastowskiej” nikt z współczesnych literatów nie kwapił się przyjechać. Archiwum Klubu przechowuje te miłe oznaki patriotyzmu.

Rok 1946 nie okazał się bynajmniej przełomowy. Mając ciągle na myśli wyznacznik literacki — notując kontynuowanie „czwartków” w ulgowym już formie nie przez indywidualnych organizatorów, lecz przez Klub Literacko-Artystyczny (powstał 26. III 1946 r.). Klub grupuje około 60 członków. I do chwili obecnej zorganizowano 12 imprez, w tym 7 referatów, 2 wieczory spektakulne, 1 turniej recytatorski, 1 wieczór autorski i 1 wieczór humoru.

Rok 1946 nie okazał się bynajmniej przełomowy. Mając ciągle na myśli wyznacznik literacki — notując kontynuowanie „czwartków” w ulgowym już formie nie przez indywidualnych organizatorów, lecz przez Klub Literacko-Artystyczny (powstał 26. III 1946 r.). Klub grupuje około 60 członków. I do chwili obecnej zorganizowano 12 imprez, w tym 7 referatów, 2 wieczory spektakulne, 1 turniej recytatorski, 1 wieczór autorski i 1 wieczór humoru.

Prawie każde miasto, obojętnie jakiej wielkości, każda organizacja, placówka, czy urząd posiada własną bibliotekę. Taką bibliotekę „swoją bibliotekę” posiada również nadodrzańskie Szczecin. Jest to przede wszystkim spadek poniemiecki. Własny gmach o pojemności ponad 10 000 m sześć, urządzony i wyposażony we wszelkie potrzebne akcesoria, oraz księgozbiór. Całość przetrwała nalyt alianckie, obalenie i zdobycie miasta przez armię polsko-radziecką, okres szabrowniczy, by doczekać się wreszcie normalnego, powojennego życia — biblijnych chudych lat.

HISTORIA KRÓTKA Z MISTNYM KOŃCEM
Historia tej Biblioteki nie jest zbyt ciekawa. W r. 1902 postanowiono utworzyć Bibliotekę Miejską. Zebrano więc księgozbiór Magistratu, szkół, kościołów i niektóre prywatne — wszystko co od lat leżało nieużytkowane, dokupiono trochę nowych ksiąg, powołano bibliotekarza — i biblioteka gotowa. Co to za biblioteka była i jaki księgozbiór — niech zaświadczy fakt, że pier-



Jan Czabanowski, aktor i główny reżyser „Małego Teatru”.
Rys. B. Rajkowski

Teatr pozostaje pod kierownictwem Zbigniewa Lubasa. Bezsprzecznie najlepszym aktorem jest p. Czabanowski, poza tym główny i jedyny reżyser tego teatru. Z pań wyróżniają się Balcerakówna i H. Rajkowska. Duże nadzieje rokują młody aktor Zieliński.

Mankamenty „Teatru Małego” z jednej strony, z drugiej zaś rozbudowujące się coraz bardziej życie gospodarcze i kulturalne przyspieszyły decyzję stworzenia teatru zawodowego o reprezentacyjnym charakterze. Toteż już w połowie czer-

Wszystkie „czwartki” zorganizowano własnymi siłami. Z zewnątrz, mimo licznych zaproszeń do „rubiście ziemicy piastowskiej” nikt z współczesnych literatów nie kwapił się przyjechać. Archiwum Klubu przechowuje te miłe oznaki patriotyzmu.

Rok 1946 nie okazał się bynajmniej przełomowy. Mając ciągle na myśli wyznacznik literacki — notując kontynuowanie „czwartków” w ulgowym już formie nie przez indywidualnych organizatorów, lecz przez Klub Literacko-Artystyczny (powstał 26. III 1946 r.). Klub grupuje około 60 członków. I do chwili obecnej zorganizowano 12 imprez, w tym 7 referatów, 2 wieczory spektakulne, 1 turniej recytatorski, 1 wieczór autorski i 1 wieczór humoru.

Prawie każde miasto, obojętnie jakiej wielkości, każda organizacja, placówka, czy urząd posiada własną bibliotekę. Taką bibliotekę „swoją bibliotekę” posiada również nadodrzańskie Szczecin. Jest to przede wszystkim spadek poniemiecki. Własny gmach o pojemności ponad 10 000 m sześć, urządzony i wyposażony we wszelkie potrzebne akcesoria, oraz księgozbiór. Całość przetrwała nalyt alianckie, obalenie i zdobycie miasta przez armię polsko-radziecką, okres szabrowniczy, by doczekać się wreszcie normalnego, powojennego życia — biblijnych chudych lat.

HISTORIA KRÓTKA Z MISTNYM KOŃCEM
Historia tej Biblioteki nie jest zbyt ciekawa. W r. 1902 postanowiono utworzyć Bibliotekę Miejską. Zebrano więc księgozbiór Magistratu, szkół, kościołów i niektóre prywatne — wszystko co od lat leżało nieużytkowane, dokupiono trochę nowych ksiąg, powołano bibliotekarza — i biblioteka gotowa. Co to za biblioteka była i jaki księgozbiór — niech zaświadczy fakt, że pier-

Wszystkie „czwartki” zorganizowano własnymi siłami. Z zewnątrz, mimo licznych zaproszeń do „rubiście ziemicy piastowskiej” nikt z współczesnych literatów nie kwapił się przyjechać. Archiwum Klubu przechowuje te miłe oznaki patriotyzmu.

Rok 1946 nie okazał się bynajmniej przełomowy. Mając ciągle na myśli wyznacznik literacki — notując kontynuowanie „czwartków” w ulgowym już formie nie przez indywidualnych organizatorów, lecz przez Klub Literacko-Artystyczny (powstał 26. III 1946 r.). Klub grupuje około 60 członków. I do chwili obecnej zorganizowano 12 imprez, w tym 7 referatów, 2 wieczory spektakulne, 1 turniej recytatorski, 1 wieczór autorski i 1 wieczór humoru.

Prawie każde miasto, obojętnie jakiej wielkości, każda organizacja, placówka, czy urząd posiada własną bibliotekę. Taką bibliotekę „swoją bibliotekę” posiada również nadodrzańskie Szczecin. Jest to przede wszystkim spadek poniemiecki. Własny gmach o pojemności ponad 10 000 m sześć, urządzony i wyposażony we wszelkie potrzebne akcesoria, oraz księgozbiór. Całość przetrwała nalyt alianckie, obalenie i zdobycie miasta przez armię polsko-radziecką, okres szabrowniczy, by doczekać się wreszcie normalnego, powojennego życia — biblijnych chudych lat.

HISTORIA KRÓTKA Z MISTNYM KOŃCEM
Historia tej Biblioteki nie jest zbyt ciekawa. W r. 1902 postanowiono utworzyć Bibliotekę Miejską. Zebrano więc księgozbiór Magistratu, szkół, kościołów i niektóre prywatne — wszystko co od lat leżało nieużytkowane, dokupiono trochę nowych ksiąg, powołano bibliotekarza — i biblioteka gotowa. Co to za biblioteka była i jaki księgozbiór — niech zaświadczy fakt, że pier-

Wszystkie „czwartki” zorganizowano własnymi siłami. Z zewnątrz, mimo licznych zaproszeń do „rubiście ziemicy piastowskiej” nikt z współczesnych literatów nie kwapił się przyjechać. Archiwum Klubu przechowuje te miłe oznaki patriotyzmu.

Rok 1946 nie okazał się bynajmniej przełomowy. Mając ciągle na myśli wyznacznik literacki — notując kontynuowanie „czwartków” w ulgowym już formie nie przez indywidualnych organizatorów, lecz przez Klub Literacko-Artystyczny (powstał 26. III 1946 r.). Klub grupuje około 60 członków. I do chwili obecnej zorganizowano 12 imprez, w tym 7 referatów, 2 wieczory spektakulne, 1 turniej recytatorski, 1 wieczór autorski i 1 wieczór humoru.

Skąpski objął Teatr Miejski w Słupsku, a p. Czosnowski Teatr Polski w Szczecinie przekształcający go, nie wiadomo dlaczego, na „Komedia Muzyczną”. Zmiana kierownictwa, okres zimowy, brak subwencji oraz chaos repertuarowy odbiły się niekorzystnie na nowym teatrze. Mimo że dyrekcja „Komedi Muzycznej” zdołała pozyskać kilku dobrych aktorów, jak Sliwiński, Jabłoński, Daszewski, a wśród swego zespołu posiadała parę utalentowanych sił, obniżyła jednak katastrofalnie swój repertuar wystawiając niemal bez przerwy lekkie komedie i tylko od czasu do czasu dając na odczepie jaką poważniejszą sztukę. Dość wspomnieć, że na 12 premier wystawiono w tym repertuarowym teatrze szczecińskim tylko 3 sztuki polskie, mianowicie „Przeprawdzka”, „Pannę Maliczewską” i „Zemstę”. Z obcych sztuk na wyróżnienie zasługują tylko „Mariusz” Pagnola. Reszta to małowartościowe komedie w rodzaju „Rozkosznicie dziewczyny”, „Jana” czy „Niebieskiego lisa”. Skutkiem tego teatr „Komedia Muzyczna” pozostaje w

pewnym impasie, nie mogąc zdobyć się na jakąś przemysłową linię repertuarową. Ten stan powinien ulec radykalnej zmianie, jeśli „Komedia Muzyczna” nie chce zasługiwać na miano teatru, idącego po linii najmniejszego oporu i pozbawionego większych ambicji artystycznych. W związku z kryzysem teatralnym Szczecińska powstał plan połączenia wszystkich trzech teatrów Pomorza Zachodniego pod wspólnym kierownictwem artystycznym, budżetowym i repertuarowym jako teatr wojewódzki, na wzór podobnie pojętej organizacji teatrów Warszawy czy Krakowa. Teatr „Komedia Muzyczna” byłby w tym ujęciu teatrem wielkim, Teatr Mały — kameralnym, a teatr słupski — teatrem obywatelskim. Jeśli plan ten, który już uzyskał na pół oficjalną aprobatę Departamentu Teatru, zostanie mardrze zrealizowany, to z nowym sezonem teatralnym rozwinięć się może w Szczecinie nowe życie teatralne, pozabawione tych wszystkich usterek i niedociągłości, które dotychczas prześladowały nasze miasto.
Stanisław Telega

ŻYCIE LITERACKIE



Czesław Piskorski, niestrudzony popularyzator historii Szczecina i Pomorza Zachodniego.
Rys. B. Rajkowski

Wszystkie „czwartki” zorganizowano własnymi siłami. Z zewnątrz, mimo licznych zaproszeń do „rubiście ziemicy piastowskiej” nikt z współczesnych literatów nie kwapił się przyjechać. Archiwum Klubu przechowuje te miłe oznaki patriotyzmu.

Rok 1946 nie okazał się bynajmniej przełomowy. Mając ciągle na myśli wyznacznik literacki — notując kontynuowanie „czwartków” w ulgowym już formie nie przez indywidualnych organizatorów, lecz przez Klub Literacko-Artystyczny (powstał 26. III 1946 r.). Klub grupuje około 60 członków. I do chwili obecnej zorganizowano 12 imprez, w tym 7 referatów, 2 wieczory spektakulne, 1 turniej recytatorski, 1 wieczór autorski i 1 wieczór humoru.

Prawie każde miasto, obojętnie jakiej wielkości, każda organizacja, placówka, czy urząd posiada własną bibliotekę. Taką bibliotekę „swoją bibliotekę” posiada również nadodrzańskie Szczecin. Jest to przede wszystkim spadek poniemiecki. Własny gmach o pojemności ponad 10 000 m sześć, urządzony i wyposażony we wszelkie potrzebne akcesoria, oraz księgozbiór. Całość przetrwała nalyt alianckie, obalenie i zdobycie miasta przez armię polsko-radziecką, okres szabrowniczy, by doczekać się wreszcie normalnego, powojennego życia — biblijnych chudych lat.

HISTORIA KRÓTKA Z MISTNYM KOŃCEM
Historia tej Biblioteki nie jest zbyt ciekawa. W r. 1902 postanowiono utworzyć Bibliotekę Miejską. Zebrano więc księgozbiór Magistratu, szkół, kościołów i niektóre prywatne — wszystko co od lat leżało nieużytkowane, dokupiono trochę nowych ksiąg, powołano bibliotekarza — i biblioteka gotowa. Co to za biblioteka była i jaki księgozbiór — niech zaświadczy fakt, że pier-

Wszystkie „czwartki” zorganizowano własnymi siłami. Z zewnątrz, mimo licznych zaproszeń do „rubiście ziemicy piastowskiej” nikt z współczesnych literatów nie kwapił się przyjechać. Archiwum Klubu przechowuje te miłe oznaki patriotyzmu.

Rok 1946 nie okazał się bynajmniej przełomowy. Mając ciągle na myśli wyznacznik literacki — notując kontynuowanie „czwartków” w ulgowym już formie nie przez indywidualnych organizatorów, lecz przez Klub Literacko-Artystyczny (powstał 26. III 1946 r.). Klub grupuje około 60 członków. I do chwili obecnej zorganizowano 12 imprez, w tym 7 referatów, 2 wieczory spektakulne, 1 turniej recytatorski, 1 wieczór autorski i 1 wieczór humoru.

Prawie każde miasto, obojętnie jakiej wielkości, każda organizacja, placówka, czy urząd posiada własną bibliotekę. Taką bibliotekę „swoją bibliotekę” posiada również nadodrzańskie Szczecin. Jest to przede wszystkim spadek poniemiecki. Własny gmach o pojemności ponad 10 000 m sześć, urządzony i wyposażony we wszelkie potrzebne akcesoria, oraz księgozbiór. Całość przetrwała nalyt alianckie, obalenie i zdobycie miasta przez armię polsko-radziecką, okres szabrowniczy, by doczekać się wreszcie normalnego, powojennego życia — biblijnych chudych lat.

HISTORIA KRÓTKA Z MISTNYM KOŃCEM
Historia tej Biblioteki nie jest zbyt ciekawa. W r. 1902 postanowiono utworzyć Bibliotekę Miejską. Zebrano więc księgozbiór Magistratu, szkół, kościołów i niektóre prywatne — wszystko co od lat leżało nieużytkowane, dokupiono trochę nowych ksiąg, powołano bibliotekarza — i biblioteka gotowa. Co to za biblioteka była i jaki księgozbiór — niech zaświadczy fakt, że pier-

Wszystkie „czwartki” zorganizowano własnymi siłami. Z zewnątrz, mimo licznych zaproszeń do „rubiście ziemicy piastowskiej” nikt z współczesnych literatów nie kwapił się przyjechać. Archiwum Klubu przechowuje te miłe oznaki patriotyzmu.

Wszystkie „czwartki” zorganizowano własnymi siłami. Z zewnątrz, mimo licznych zaproszeń do „rubiście ziemicy piastowskiej” nikt z współczesnych literatów nie kwapił się przyjechać. Archiwum Klubu przechowuje te miłe oznaki patriotyzmu.

Rok 1946 nie okazał się bynajmniej przełomowy. Mając ciągle na myśli wyznacznik literacki — notując kontynuowanie „czwartków” w ulgowym już formie nie przez indywidualnych organizatorów, lecz przez Klub Literacko-Artystyczny (powstał 26. III 1946 r.). Klub grupuje około 60 członków. I do chwili obecnej zorganizowano 12 imprez, w tym 7 referatów, 2 wieczory spektakulne, 1 turniej recytatorski, 1 wieczór autorski i 1 wieczór humoru.

Prawie każde miasto, obojętnie jakiej wielkości, każda organizacja, placówka, czy urząd posiada własną bibliotekę. Taką bibliotekę „swoją bibliotekę” posiada również nadodrzańskie Szczecin. Jest to przede wszystkim spadek poniemiecki. Własny gmach o pojemności ponad 10 000 m sześć, urządzony i wyposażony we wszelkie potrzebne akcesoria, oraz księgozbiór. Całość przetrwała nalyt alianckie, obalenie i zdobycie miasta przez armię polsko-radziecką, okres szabrowniczy, by doczekać się wreszcie normalnego, powojennego życia — biblijnych chudych lat.

HISTORIA KRÓTKA Z MISTNYM KOŃCEM
Historia tej Biblioteki nie jest zbyt ciekawa. W r. 1902 postanowiono utworzyć Bibliotekę Miejską. Zebrano więc księgozbiór Magistratu, szkół, kościołów i niektóre prywatne — wszystko co od lat leżało nieużytkowane, dokupiono trochę nowych ksiąg, powołano bibliotekarza — i biblioteka gotowa. Co to za biblioteka była i jaki księgozbiór — niech zaświadczy fakt, że pier-

Wszystkie „czwartki” zorganizowano własnymi siłami. Z zewnątrz, mimo licznych zaproszeń do „rubiście ziemicy piastowskiej” nikt z współczesnych literatów nie kwapił się przyjechać. Archiwum Klubu przechowuje te miłe oznaki patriotyzmu.

Rok 1946 nie okazał się bynajmniej przełomowy. Mając ciągle na myśli wyznacznik literacki — notując kontynuowanie „czwartków” w ulgowym już formie nie przez indywidualnych organizatorów, lecz przez Klub Literacko-Artystyczny (powstał 26. III 1946 r.). Klub grupuje około 60 członków. I do chwili obecnej zorganizowano 12 imprez, w tym 7 referatów, 2 wieczory spektakulne, 1 turniej recytatorski, 1 wieczór autorski i 1 wieczór humoru.

Prawie każde miasto, obojętnie jakiej wielkości, każda organizacja, placówka, czy urząd posiada własną bibliotekę. Taką bibliotekę „swoją bibliotekę” posiada również nadodrzańskie Szczecin. Jest to przede wszystkim spadek poniemiecki. Własny gmach o pojemności ponad 10 000 m sześć, urządzony i wyposażony we wszelkie potrzebne akcesoria, oraz księgozbiór. Całość przetrwała nalyt alianckie, obalenie i zdobycie miasta przez armię polsko-radziecką, okres szabrowniczy, by doczekać się wreszcie normalnego, powojennego życia — biblijnych chudych lat.

HISTORIA KRÓTKA Z MISTNYM KOŃCEM
Historia tej Biblioteki nie jest zbyt ciekawa. W r. 1902 postanowiono utworzyć Bibliotekę Miejską. Zebrano więc księgozbiór Magistratu, szkół, kościołów i niektóre prywatne — wszystko co od lat leżało nieużytkowane, dokupiono trochę nowych ksiąg, powołano bibliotekarza — i biblioteka gotowa. Co to za biblioteka była i jaki księgozbiór — niech zaświadczy fakt, że pier-

Wszystkie „czwartki” zorganizowano własnymi siłami. Z zewnątrz, mimo licznych zaproszeń do „rubiście ziemicy piastowskiej” nikt z współczesnych literatów nie kwapił się przyjechać. Archiwum Klubu przechowuje te miłe oznaki patriotyzmu.

ŻYCIE LITERACKIE

odczyt o Broniewskim i Konopnickiej. Impreza nie przyniosła żadnych szkód, bo słuchano ją kilkanaście osób. Próba zorganizowania, poza Klubem, wieczoru autorskiego Nactowi-Prutkowskiemu przyniosła jeszcze gorsze rezultaty, gdyż na wieczorze było jeszcze mniej osób, niż na poranku „Teatru Małego”. Pewne trudności materialne zahamowały przez pewien czas działalność Klubu Literacko-Artystycznego. W maju nastąpiła jednak poprawa, a ogłoszone przyjaźni Ewy Szelburg-Zarembiny, Morsinka, Wiecha-Witcheckiego, prof. Karola Wierzbickiego i innych rokuja nadzieję, że rok 1947 będzie przełomowym w życiu literacko-artystycznym Szczecina. Na tym miejscu należy wymienić tych autorów szczecińskich, którzy zasilają swymi pracami lokalną prasę oraz współpracują z piśmami literackimi w innych miastach. Należą do nich: M. Boniecka, A. Czekalski, Wal. Lachnitti, R. Łyczyniec, Tym. Karpowicz, M. Koryewo, Cz. Piskorski, St. Ostrowski, J. Papuga, St. Sztybowski, St. Telega i W. Wirpsza. Poza wymienionymi należą wspomnieć o M. Prońskim, który w Koszalinie pracował nad powieścią „Twiarze przed lustrem”. Tak w stylu telegraficznym przedstawia się „życie literackie” Szczecina w latach 1945-47. Trafna ocena tego okresu nie jest możliwa bez dokładnego zanalizowania spraw materialnych, społecznych, a nawet politycznych, nie mówiąc już o specjalnej atmosferze pracy w Szczecinie.

Uwzględnienie tych czynników zagodziło by niejedną sęd i wyklądoby by, ile trudu i pracy włożyło wielu z wymienionych tu ludzi dla pobudzenia życia literackiego w Szczecinie.
Włodzimierz Goszczyński.

polskiego Szczecina

Ruch Wydawniczy



Sztokholm, przyboczna zbrojownia królewska. Fragment wjazdu Zygmunta III do Krakowa w r. 1605. Młodzieniec z prawej z pióropuszem i kapeluszem to książę Jerzy III pomorski. (Fot. Kl. Livrustkammaren, Sztokholm).

KSIAŻĄT pomorskich często widzimy na dworach królów polskich. Jeszcze o latach szesnastowiecznych pisze Mitkowiński: „... po dawnemu król polski opiekuje się swymi krewniakami, po dawnemu zaślania ich przed zakusami brandenburskimi.“ W ten sposób historycy polski określili jasno stosunek królów polskich do książąt pomorskich, stwierdzając tym samym, że daleki on był od imperialistycznych prób, dostrzeganych w nim przez historyków niemieckich doby ostatniej.

„Przymierze Pomorza z Polską trzyma w szachu Brandenburgię i umożliwia księstwu pomorskim byt niepodległy.“ Stosunki z dworami polskimi umożliwiając organizację dworskiego życia na Pomorzu według prawideł polskiej kultury. Gdyby historycy niemiecki (Wehrmann) zbadal bliżej te ożywione stosunki pomorsko-polskie, nie dziwił by się tak bardzo, napotykał liczne ślady polskiego obyczaju i kultury u książąt pomorskich. Ich dzieła jaśniejsze i czystsze są od dzieł książąt śląskich, ale bo też ofensywa niemiecka Śląsk ogarniała precyzyjną siecią intryg, bojąc się słuszenie, że ziemia ta najtrudniej jest do zdobycia. Atak na Pomorze i Szczecin pójść miał innymi drogami, a oddalenie się Polski od Pomorza stanowić miało najlepszy zysk tej zwłoki.

Z przykrością stwierdzić trzeba, że Szczecin nie jest niestety tak poważnym ośrodkiem wydawniczym, jak drugie wielkie miasto Ziem Zachodnich, Wrocław. Przyczyną tego stanu rzeczy są najróżniejsze, a najważniejszą jest ta: miasto jest położone na samym krańcu Rzeczypospolitej i przez długi czas nie posiadało własnej wyższej uczelni, a więc nie było skupiskiem takich jednostek, które by mogły zainicjować poważniejszy ruch wydawniczy.

A przecież próby stworzenia ośrodka wydawniczego były: niestety nie znalazły one poparcia u czynników, które o rozwój tego działu kultury narodowej powinny dbać. Spółdzielnia wydawnicza, która powstała w Szczecinie pod nazwą „Polskie Pismo i Książka“, natrafiła na tak duże trudności, że większość swjej energii musieli jej kierownicy poświęcić nie na istotną pracę wydawniczą, lecz na walkę o maszyny, prawo wydawania pism, przydziały papieru itp.

Ten stan rzeczy był niewątpliwie przyczyną, że pierwsza książka szczecińskich autorów pt. „Szczecin dawniej i dzisiaj“ Swiokły i Moskalewicza ukazała się poza Szczecinem, w Bydgoszczy. Uczniowie stwierdzili, że ten informator-przewodnik jest dotychczas najgrunтовniejszym wydawnictwem o mieście Szczecinie. Ta jedna pozycja to właściwie cały dorobek roku 1945.

1946 rok zapowiadał się lepiej. Już na początku ukazała się broszura Zaremby i Piskorskiego „Polska Flaga w Szczecinie“, Piskorskiego „Gry historyczne“ i tegoż samego autora pierwszy nakład

„Zabytków Piastowskiego Szczecina“. Wykaz ten należałoby zamknąć jeszcze dwoma pozycjami, a mianowicie wydawnictwami: Tarnowskiego „Jakie powinny być zachodnie granice Polski“ i Helaszyńskiego „W piastowskich grodach Pomorza Zachodniego“.

Mimo, że warunki drukarskie uległy w 1947 roku już znacznej zmianie na lepsze, rok ten nie przyniósł, niestety, poważniejszego ożywienia działalności wydawniczej. W okresie wyborczym ukazały się dwie broszury: T. Jakubowicza „Polska odrodzona na Pomorzu Zachodnim“ oraz, bez wiedzy i aprobaty Klubu Literacko-Artystycznego, choć pod jego firmą, zbiór ilustracji pt. „Piękno i bogactwo Pomorza Zachodniego“.

Wreszcie „Polskie Pismo i Książka“ wydało II nakład znacznie powiększonego albumu Piskorskiego „Zabytki Piastowskiego Szczecina“. Pewne ożywienie w dziale podręczników dla studentów zapanowało z chwilą uruchomienia w Szczecinie Akademii Handlowej. Staraniem Komitetu Wydawniczego przy tejże uczelni ukazał się drukiem szereg skryptów dla młodzieży akademickiej. Zestawienie za rok bieżący należałoby zamknąć niezbyt chlubną pozycją zbioru poezji Jana Ziótkowskiego pt. „Na bursztynowym wybrzeżu“, wydanego nakładem OM TUR w Szczecinie. Jest to zbiór wierszy tematycznie związanych z morzem i Pomorzem Zachodnim, artystycznie jednak nie posiadających żadnej wartości.

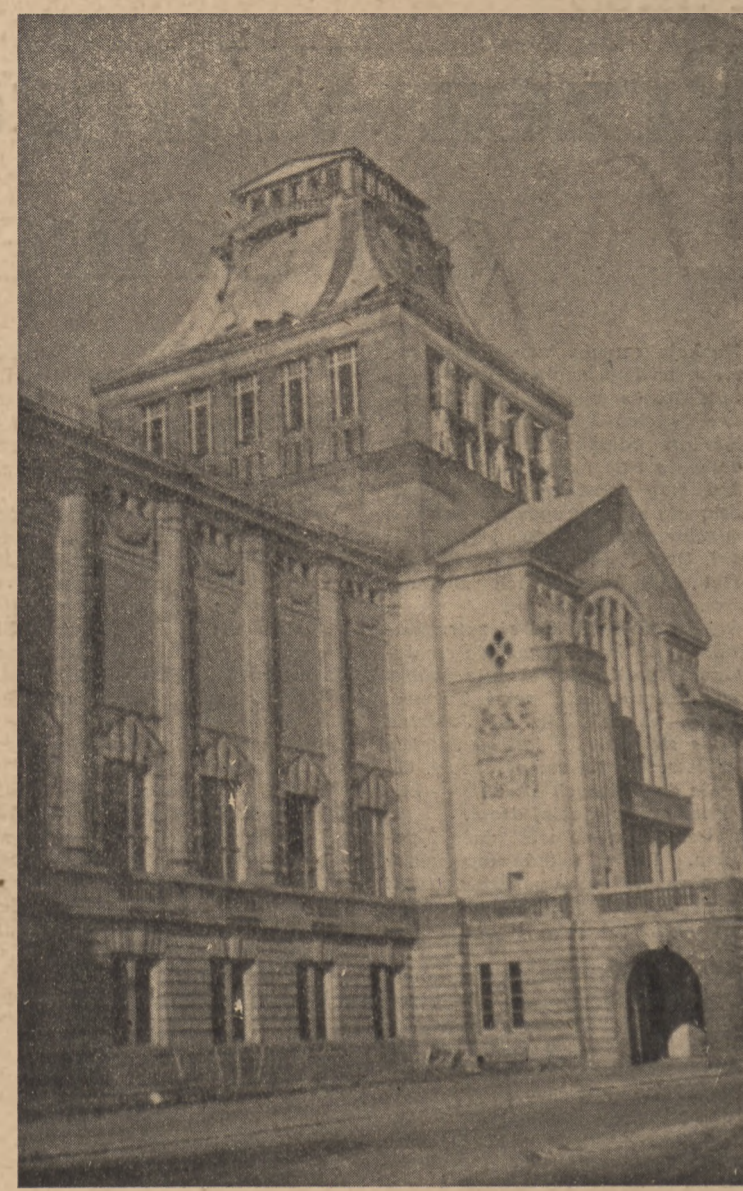
O ile chodzi o wydawnictwa periodyczne Pomorza Zachodniego, to zaczęły się one od „Wiadomości Szczecińskich“ i „Wiadomości Ko-

szalińskich“. Regularnie wydawanym dziennikiem był „Głos Nadodrzański“, zastąpiony później przez ukazujący się do chwili obecnej, jedyny na Pomorzu Zachodnim dziennik „Kurier Szczeciński“. Już w roku 1945 ukazały się również numery szczecińskiego tygodnika „Pionier Szczeciński“ wydawanego obecnie pod nazwą „Szczecin“.

Inne periodyki ukazują się nieregularnie. „Życie Kobiety“ (wydawane przez „Ligę Kobiet“) zdaje się, że już skończyło swój żywot. „Akademik Szczeciński“ ukazał się tylko raz. Scienna gazetka Urzędu Informacji pt. „Głos Szczecina“ również należy do przeszłości. Młodzież wydaje nieregularnie „Młodzi Myślą“, a szczecińscy Żydzi „Tygodnik Informacyjny“. Na prowincji jedynie w Stargardzie ukazuje się tygodnik „Wieści“.

W oczy się wpróc rzuca brak jakiegokolwiek prasy fachowej, zawodowej czy też morskiej. A wielka szkoda. Przecież Szczecin jest portem, ma urzędy morskie i rybackie, są w nim maklerzy i spedytory, którzy również na pewno mają swe potrzeby i troski. Miejmy nadzieję, że w związku z ożywieniem, jakie zanotowano ostatnio w porcie szczecińskim, również ożywi się ruch wydawniczy Szczecina.

Czesław Piskorski.



Gmach Muzeum Morskiego na Wałach Chrobrego, w którym znajdują się pamiątki naszych morskich tradycji.

ŻYCIE MUZYCZNE

Przejmując w posiadanie Pomorza Zachodniego, nie natrafiłszy w życiu muzycznym na żadne dane, do których można było na nowo powrócić. O właściwej kulturze muzyki polskiej nie można było na tutaj szanować się, nie podążać za rozwojem ani niemieckiej, ani też ogólnoeuropejskiej muzyki. W Niemczech samych nie liczone się z muzyką w ściślejszym znaczeniu tego słowa regionalną Pomoranii, ponieważ jej w ogóle nie było.

Najwybitniejszy kompozytor, działający na terenie Szczecina, Karol Loewe, był z pochodzenia saksończykiem, komponował w stylu w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku ogólnie przyjętym i nie dało mu się tutaj specyficznemu naładować do stworzenia regionalnego stylu muzycznego. „Pomerania non cantat“ (Pomorze nie śpiewa; to było ogólne mniemanie o muzycznym znaczeniu tej części „Reichu“, która w dziedzinie kultury i sztuki niezgodnie oryginalnie nie stworzyła. Po śmierci Loewego nie się na lepsze nie zmieniło.

Nie zdobył się Szczecin, liczący przed wojną 400 tysięcy mieszkańców, ani na stałą operę (jakie posiadały inne tego rodzaju miasta niemieckie), ani na stałą orkiestrę symfoniczną.

Koncerty symfoniczne odbywały się sporadycznie, zainicjowane przez osoby prywatne. Tutejsza agencja koncertowa „Simon“ sprzedawała znanych w świecie muzycznym solistów i podtrzymywała w ten sposób przejściowe zainteresowanie imprezami.

Szkolnictwo muzyczne stało na niskim poziomie. Brak stworzenia poważniejszej uczelni muzycznej, do której i niżej podpisane wciągnięto, nie udało się.

Gdyśmy w roku 1945 przejmowali Szczecin we własny zarząd, nie było na czym stać kultury zaszczytnej. Warunki naszej pracy odbiegały znacznie od warunków w Polsce centralnej. Autochtonów jest na naszym terenie — za wyjątkiem części odzyskanych na pograniczu dawnej Polski — nikła ilość. W czasach regime'u hitlerowskiego autoch-

toni nie mogli się jednoczyć do podtrzymania naszych potrzeb kulturalnych.

Bezpośrednio po objęciu Ziemi Odzyskanych nie dano się przystąpić do utralenia naszej kultury na Pomorzu Zachodnim. Chociaż wpływ naszego osadnictwa był znaczny, nosił on jednakowoż charakter fluktuacyjny.

Tak mijał rok 1945. W następnym roku dawała się odczuć stopniowa poprawa i normalizacja życia codziennego. Na pierwszy ogień poszło szkolnictwo muzyczne. W pierwszych miesiącach 1946 r. powstały na terenie Szczecina dwie szkoły muzyczne, do których od samych początków napływ uczniów był tak wielki, że nowych uczniów nie mogło one dzisiaj przyjmować. Trzeba się starać o nowe, obszerniejsze lokale szkolne i są widoki, że z nowym rokiem szkolnym będzie toż-

poza Szczecinem uruchomiono szkołę muzyczną w Słupsku, która także dobrze się zapowiada i ma odpowiednie kierownictwo.

Na większe trudności natrafia utworzenie chóru o poważniejszym charakterze. Kiedy w początku 1946 roku rozważano w Urzędzie Miejskim cyrkularze w sprawie utworzenia reprezentacyjnego chóru miejskiego, wpłynęły na ten apel... trzy zgłoszenia.

Natomiast rusza prywatna inicjatywa i ta zaczyna działać z większym powodzeniem. Powstał chór „Echo“, którego publiczne występy stwierdzają, że jest na najlepszej drodze do wytkniętego celu. Utworzony został chór przy Związku Zachodnim. Na prowincji powstały w wielu miejscowościach chóry.

Przed miesiącem rozwiązane Szczecińskie Towarzystwo Muzyczne jeszcze swej działalności nie rozpoczęło. W planie tego towarzystwa jest zorganizowanie życia muzycznego oraz wprowadzenie go na odpowiednie tory.

Zawodowy Związek Muzyków, jako filia Centralnego Związku Muzyków R. P. liczy obecnie 142 członków, lecz pracuje trochę na uboczu.

Orkiestra Polskiego Radia też ogranicza swą działalność na ściślejszym polu rozgłośni szczecińskiej. Jeżeli niektóre audycje są nadawane nie ze studia lecz hali fabrycznej, jeżeli program jest odpowiednio zestawiony, że nadaje się do sali koncertowej, nie zmienia to sprawy samej, iż orkiestra radiowa dysponuje wyłącznie dyrekcją rozgłośni. Może się jednakowoż Towarzystwu Muzycznemu uda wszystkie czynniki skoordynować i stworzyć zaczątek orkiestry symfonicznej.

Nadmienić należy, że koła amatorskie zaczynają występować czynnie jako popularyzatorzy muzyki polskiej. Słyszałem próbkę do opery moniuszkowskiej „Halka“, która dobrze po sobie pozostawiła wrażenie.

Poza Szczecinem pracują na prowincji wspomniane już zespoły chóralki.

Wacław Piotrowski.

PLASTYKA

Poważną pozycję w życiu kulturalnym Szczecina posiada Zawodowy Związek Polskich Artystów Plastyków, który w swym dorobku organizacyjnym pochwalić się może urządzeniem dwóch wystaw, na które złożyły prace członków Związku, i zorganizowaniem Szkoły Sztuk Pięknych.

Fakty te nabierają specjalnego znaczenia jeżeli zważy się, że w skład Związku wchodzi artyści z różnych środowisk i że pracą swą prowadzili w warunkach zupełnie nie sprzyjających twórczości artystycznej. Wpływają na to przede wszystkim brak tradycji kulturalnych w tutejszym społeczeństwie i specyficzne jego nastawienie wybitnie w kierunku zagadnień gospodarczych. Zainteresowania te zrodziły się w społeczeństwie, które zamieszkuje miasto portowe. Nie sprzyjają jednak one jakiegokolwiek pracy artystycznej, czy kulturalnej.

Plastycy szczecińscy zorganizowali już w listopadzie 1945 r. pierwszą wystawę prac swoich członków, która była również pierwszą wystawą tego rodzaju na Ziemiach Odzyskanych. Spłonęła ona z przyczyn dotąd nie wyjaśnionych w trzy dni po jej otwarciu. Zdarzenie to spowodowało pewne zahamowanie w pracy i odsunięcie się członków Związku od środowiska szczecińskiego. Zrażeni nie tyle pożarem ile brakiem zainteresowania się tym wypadkiem przez tak zwane czynniki miarodajne, skierowali swój wysiłek na obsypanie wystaw w Polsce centralnej.

Mimo tych trudności Związek zorganizował w grudniu ub. roku drugą wystawę, która stała się ważnym wydarzeniem nie tylko w życiu Związku, ale i w życiu kulturalnym naszego miasta. Druga zaś wystawa

wzbudziła znacznie większe zainteresowanie, czego dowodem zakup Ministerstwa Kultury i Sztuki i nagrody wyznaczone przez wojewodę szczecińskiego i prezydenta miasta. Zakupione zostały prace: Zenona Koronowicza, Mariana Tomaszewskiego, Kazimierza Podsadeckiego i Karnieja. Nagrody otrzymali: Lu-

kasz Niewisiewicz i Lech Krzekotowski.

Dalszym sukcesem Związku jest zorganizowanie na podstawie dekretu Ministerstwa Kultury i Sztuki Szkoły Sztuk Pięknych. Uczelnia ta ciesząca się dość znacznym zainteresowaniem ma duże możliwości rozwoju, jednakże brak własnego

gmachu hantuje wybitnie jej rozwój.

W czerwcu br. otwarta zostanie zorganizowana przez Związek wystawa Plastyków Wybrzeża, w której udział wezmą artyści zrzeszeni w związkach: gdańskim i szczecińskim.

Lech Krzekotowski.



Kazimierz Podsadecki: Pejzaż.

Fot. K. Haska.

ET MUTI LOQUUNTUR

przypada 972, książki pomorskie, 906, dotacje Min. Oświaty 1.268 oraz najważniejsza pozycja — dary 1.336 woluminów.

Na tym miejscu chciałbym złożyć podziękowanie ofiarodawcom, a przede wszystkim: Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie, Instytutowi Bałtyckiemu w Bydgoszczy, Prezydentowi m. Szczecina — inż. P. Zarembie, Związkowi M. W. „Wieś“ w Szczecinie, oraz bibliotekarzowi szczecińskiemu — mgr Habraszewskiemu R.

Na zakup książek wydatkowano dotychczas:

Zarząd Miejski	130.000 zł
Komitet Święta O. świąty 1946 r.	41.000 zł
Min. Oświaty	25.000 zł
Urząd Wojewódzki	35.000 zł

Razem 234.000 zł
Egzemplarz obowiązkowy, mimo nałożonego obowiązku na wydawców, nie wpływa, gdyż c. twierdzą, że w tym zakresie nie im nie wiadomo. Jedyne Spółdzielnia Wydawnicza „P. K. P.“ nadsyła tłoczone we własnej drukarni wydawnictwa.

Wypożyczalnia w r. 1946 (III—XII) zanotowała 14.444 tomów wydanych książek i 12.777 odwiedzin. W rb. miesięcznie wy-

pożycza się około 3.000 tomów. Wydatki na Bibliotekę wyniosły: 45/46 r. (12. VIII — 30. III) — 38.105 zł, 1946 r. — 596.505 zł plus fundusz specjalny 94.000 zł, a na rok 1947 prelimitowano 1.343.000 złotych.

BOGACTWO I „SMIECI“

Zgromadzone przez Niemców księgozbiór uległ częściowemu rozproszeniu i zniszczeniu. Najcenniejsze dzieła „zabezpieczono“ w różnych punktach miasta i okolicy — a te prawie wszystkie zostały zniszczone. W czasie szambrowniczej pozostał cenniejsze dzieła, o ile nie były dobrze ukryte, rozpoczęły wędrować po Europie i kiedy powrócą — nie można dziś przewidzieć. Niemniej jednak pozostałe szczątki przedstawiają jeszcze dość dużą wartość naukową, szczególnie jeżeli weźmie się pod uwagę ogromne zniszczenie naszych bibliotek.

Oczkiem w głowie Dyrekcji, a jednocześnie może najbardziej pomocnym jest traktowany przez specjalny tzw. (przez Niemców) Muzeum Książki. Jest to zbiór rękopisów, inkunabułów, starodruków, druków szczecińskich, starych map i rycin itp. posiadający ponad 20.000 pozycji. W końcu

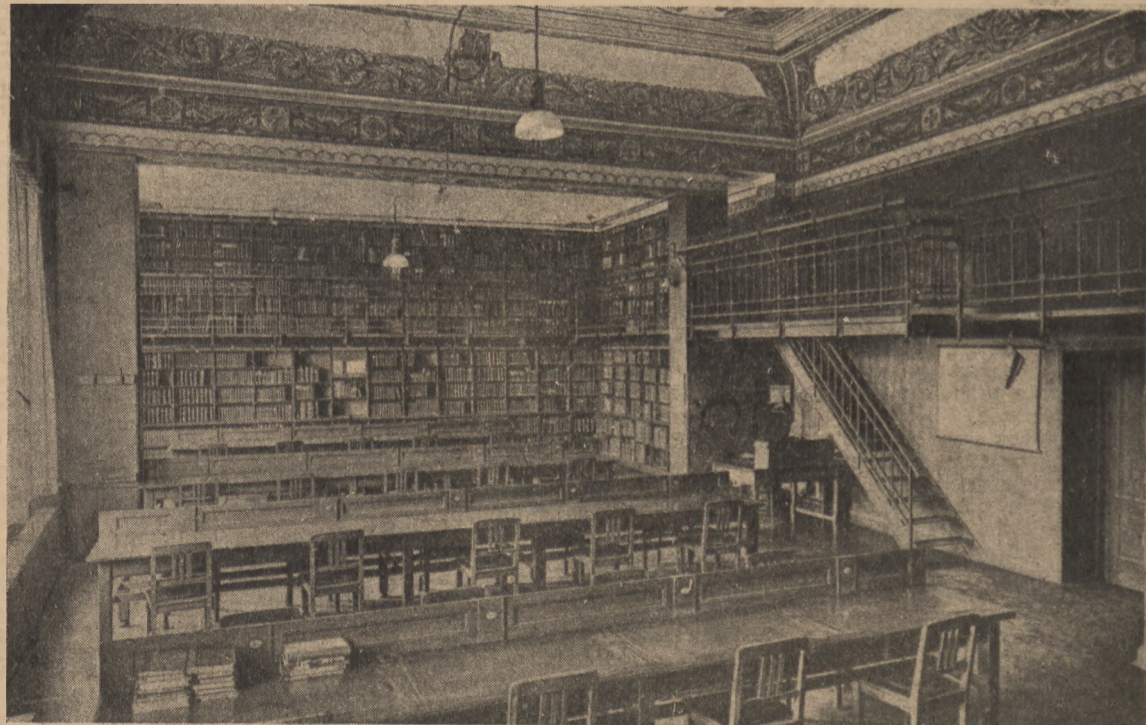
fazie wojny zbiór ten traktowany był jako śmiecie. Trudno dziś stwierdzić, co i ile zginęło. Wiele bezcennych wprost „eksponatów“ znalezione w koszach od śmieci i stosach podarte go papieru. Do dnia dzisiejszego wywleka się z różnych zakamarków rozmaite szpargały, które czasem okazują się bezcennymi zabytkami.

Biorąc chronologię cnie są to:
1. Szereg rękopisów średniowiecznych. Nie mając jednak wykazów, ani odpowiednich podręczników nie mogę w tej chwili bliżej określić ani jednego egzemplarza. Jeden z nich 279 kart grubo w 4^{to} posiada w zakończeniu wzmiankę, „Anno dm. MCCCCLXVIII“. Ponieważ jednak, wnioskując z charakteru pisma, nie jedna ręka prowaodziła pióro, co więcej — rozmieszczenie pisma i iluminacje kilkakrotnie się zmieniają, należy sądzić, że początek powstał nieco wcześniej. Na koszulce rycinie okładki widnieje szereg notatek późniejszego pochodzenia, a na przedniej — wklejone karcie obok wyraźnego napisu: — Vanitas vanitatum et omnia vanitas — znajduje się napis małego czcionki: Hus liber ego... ami anno dm. 1399 mes Junij

die 19... oraz późniejsza notatka. — Cam. Cod. 16.

Z działu tego dotychczas odnaleziono i zabezpieczono kilkanaście grubych tomów, niejednokrotnie ponad 300 kart in quarto lub folio, nie licząc pojedynczych kart i skrawków. Między tymi ostatnimi wiele pergaminów. Niestety nie ma na miejscu nikogo, kto zainteresowałby się bliżej nimi i poświęcił im odrobinę czasu. Leżą więc i cierpliwie czekają, aż znajdzie się człowiek mądry i ciekawy i zapyta je o pochodzenie, poprosi o wyjaśnienie ukrytych między kartkami tajemnic. A jestem pewien, że niejedną ciekawostkę powie, dzieć by mogły, gdyż od niepamiętnych czasów leżały ukryte w cieniu klasztornych, czy kościelnych murów, zażdrośnie strzeżone... przed okiem naukowca. Do obecnego pomieszczenia dostały się około roku 1912 i przez lat przeszło dziesięć leżały na stosach, czekając na opracowanie.

2. Z okresu niemowlęstwa druku w zbiorach szczecińskich również znajduje się szereg pamiątek. Na każdym z inkunabułów zaznaczona jest pozycja, pod którą został opisany on w Haina w „Repertorium bibliographi- cum“. Niestety brak tego dzieła nie pozwala na opracowanie posiadanych „niemowląt“. Naj-



Biblioteka Miejska w Szczecinie, czytelnia (stan obecny). Biblioteka wymaga wydawniczej opieki państwa, by mogła spełnić swe zadania kulturalne.

starszym drukiem z odcyfrowana data jest „Repertorium milis de verona...“ Kulofon brzmi:

Explicit Reptorium... non artis calioscripto sed ingeiosissimi idebcilias impresio- si Nicolaii Gotz de Sletz- stat anno incarnavis dm Mil-

lesimo quadrigentesimo septuagesimo quinto. Sola spes mea in virganis gratia (1475). Większość jednak nie posiada wyraźnie zaznaczonej daty. 3. Z w. XVI najcenniejszym będzie zbiór „luteriana“ — 70 pozycji, oraz kilkadziesiąt storo-

druków w języku łacińskim i greckim o treści przeważnie teologicznej. Język niemiecki wiska się już powoli do książek. 4. W. XVII — kilkanaście starodruków i zbiór map wydanych w (Dokończenie na stronie 8)

Przez Wilcze Łaski Od Torunia po Szczecin

ŁUCJA MAZURKIEWICZ

Dookoła szumią lasy. Rozciągają się one po obu stronach doskonałej drogi. Gdzieś w głębi lasu krzyczy ochryply głos głośnika radiowego. Ktoś tam mieszka, jakiś człowiek, albo może cała grupa ludzi.

Jedziemy przez kraj, gdzie ognis rozciągały się najwspanialsze tereny łowieckie. Były tu tury, jelenie i wilki. Dzisiaj po tej zawierzy nie pozostał ślad w nazwach miejscowości.

Oto, np. wieś, w której zatrzymaliśmy się na krótko, nazywa się Jelenina, a po drugiej stronie jeziora Lipna mamy dużą wieś Turouwo. Pomiędzy, na południe od Jeleniny ciągnie się rozległe jezioro Jeleń z miejscowością tej samej nazwy. Od Jelenia do Wilczych Łasków — kilka kilometrów niezdług drogi.

Wilcze Łaski, to wieś duża i porządną. Wojna i wtedy wprawdzie przeszła, ale nie pokazała tutaj swoich straszliwych zębów w taki sposób, jak to widzi się gdzie indziej.

Domy przeznaczone do celów mieszkaniowych. Przyszli tu Polacy nie mieli z przeszłości stron świata, obedieli dziedzictwu ojców swoich i zaczęli po wieloletniej przerwie gospodarzyć na ojczystej ziemi.

W godzinach popołudniowych, w czasie największego nasilenia słonecznego, wracamy z Wilczych Łasków do Kragowa. Po drodze trzeba przejechać rzeczkę Pitnicę, która jest na prawdę bardzo piękną rzeczką. Zaczyna się maleńkim strumieniem, wypływającym z jeziora Lipna i, jakby obrażona, wleka na odprawia inną małą strzałką na północ i łączy się z jeziorem Czereśnią. Pitnica parę kilometrów na północ wpada do jeziora Sławukowo, tu znowu łączy się z drugim jeziorem Rymarowem, aby z kolei przedrzeć się w trzęsienie jeziora Przędę. Dopiero na wysokości Rybniej Góry zaczyna się istota rzeka Płitnica.

Cale góry spalonych żelaznych łózek zacięta wszystkie place. Wala się one wśród ruin, zagradzają wszystkie drożki i ścieżki. Z tych „wraków” łózkowych można wnosić, że przeżywały tu tysiące niewinników.

Miejscowość ta nosiła niemiecką nazwę Gross Born. Coś jakby wielkie bory. Dziś tu nikt nie mieszka, dlatego pewnie nie nadano tym ruinom nazwy polskiej.

Kolonia jest na ogół bagna. Blota ciągną się na długości kilkudziesięciu kilometrów od jeziora Płitawy na północ, aż prawie do samego Sypniewa.

Przy wciąż niezmiennej słonecznej pogodzie wjeżdżamy do Sypniewa. Osiadłe duże, ładnie rozłożone w pobliżu rzeczki Płitnicy. Wysoka wieża kościelna góruje nad osadą i okolicą. Ludzi na ulicach sporo. Ze szkoły wracają dzieci.

Wszystkie widzą życie. Sklepy otwarte, szyby w oknach uszkiełkowane, na chodnikach nie ma śmieci ani błota.

Wjeżdżamy z miasteczka w stronę Szczecina. Po drodze mijamy jakiś maleńki rzeczek bez nazwy, a potem znowu Płitnicę, która wieje się takimi licznymi zakrętami, że jadąc z północy na południe można ją przejechać kilkukrotnie.

Po kamiennym dniu cieknie wartka woda. Jest krystalicznie czysta, ale zarazem bardzo niespokojna, jakby chciała jak najprędzej dobiec Gdu, a potem już razem z nią do Noteci, do której wpada pod Ujściem już na Ziemi Ujskiej.

W godzinach popołudniowych dostajemy się do Szczecina.

Szczecin? To bynajmniej nie wielki północny kraj naszych przjaciół, ale miejscowość w powiecie wieleńskim na Pomorzu Zachodnim.

Więć duża, domki przeważnie parterowe, murowane. Niemców tu już od dawna nawet na lekarstwo nie ma. Rodzin polskich czterdzieści.

Kiedy przystaliśmy pośrodku ulicy, otoczyła nas zaraz gromada dzieci i starszych. Nawijają nam rozmoż, rozpytujemy: jak im się powodzi, jak idzie gospodarka, skąd pochodzą, kiedy tu przybyli.

Odpowiadają chętnie. Większość pochodzi z zrujnowanego Wilczyc, z Polesia i innych stron. Są to ludzie prości, otwarci, szczerzy, nie zepsuci i nie zmierzwioleni.

Jak wynika z odpowiedzi naszych rozmowców, na ogół urządził się już wszyscy i mniej więcej gospodarowali. Z bolące najważniejszą to brak roboty. Narzekanie to będzie się zresztą powtarzało jeszcze i w przyszłości.

całym szeregu innych miejscowości. Ale na to, przynajmniej chwilowo, rady nie ma. Bez bydła gospodarować ciężko. Mleko jest przecież podstawowym środkiem dożyciowym wsu.

jest i druga jeszcze bolączka. To konie UNRRA.

— Dostaliśmy ich dosyć — tłumaczy jeden z gospodarzy. — Piękne, rosłe i silne. Ale ot, bieda wyjechać, panoczek...
— Dlaczego, skoro konie dostaliśmy tak dobre?
— Nie umieliśmy ich żywić. Z początku to nic je nie chciały, tylko owies i zieloną koniczynę. A skąd było wozić, skoro ciężki dopiero na nową osadę przyjechał i ani owsu ani konicy nie miał.

— A jakżeście sobie poradziły?
— Rozmaicie bywało — chłop się uśmiecha. — Z początku dawaliśmy trawę, bo można było jeszcze na takich ukosach. Potem zaczęliśmy je przyzwyczajać do sianki, ziemniaków i otrąb. Nie chciały jeść. Gniewały się stale na wszystkich. Ale głód, panoczek — zmusił. Jak się przekonały, że my ani rusz ich końską żywkę nie rozumiemy, musiały one uzyć się języka polskiego i obczyźnie.

— A teraz jak z ich zdrowiem?
— Rozmaicie bywało, panoczek. Konie duńskie i belgijskie przywykły szybkim do chorowały. Ale konie amerykańskie chorowały często i nawet padały. Ot nieszcześliwi! Dostawiali, bywało, hamana — cieszył się, że koń piękny i szeręć jemę bityszy. A po paru tygodniach ze smutkiem widzi — już chory, jest nie chce i z ciała spada, a szeręć robi się na nim wilcza. Leczyli my jak i czym kto mógł, chodziło koło „żywiwo”, jak koto rodzonego dziecka... Ale nie zawsze udawało się uratować. Pewnie, ciągnęło ich do swojej Ameryki i dlatego chorowały i padały...

Takie to troski mają ludzie w Szczeci.

Adam Czekalski.

Rok temu witał nas Wrocław świadectwem ruin, grzebiących sprawiedliwie pychę i się pracy pionierskiej, wyciągającą dłoń do każdej polskiej duszy. Rok temu kołysał nas odzyskanym pięknem krajobraz gór sudeckich.

Dziś spotykamy się w Toruniu. Niby wielki systemat rzeczny, spływający w jedną głębię zbiegała się tu, w gotyckiej przeszłości polskiej, rzęsa pięćset zgrój geografów. Nie zabrakło żadnej krainy, żadnego większego ośrodka. Obok najbliższego kręgu stały się i te najbardziej oddległe i oparte o nasze kresy: dwie bliższe doby podróży uciążliwej w jedną stronę, a po pięciu dniach taki sam powrót. Cóż jednak znaczą te trudy? Nagle zjawiają się przed tobą ludzie, często skromni i niepokorni, na których patrzył z podziwem tytułami wybitnych dzieł naukowych, prac, podręczników. Słwie głowy zdają się piśać przed światem cyry lat długich, służbie geograficznej ofiarne się oddających, a niezgaszonym entuzjazmem porwa drobna sylwetka seniora geografii polskiej, tego, co jest jej sercem, i duszą, i mózgiem: prof. Eugeniusza Romera.

Dwa dni obrad w Toruniu rozwijają przed naszymi oczyma fragmenty całorocznego obrotu naukowego. Niejeden z nas nie wyobrażał sobie nawet, że tyle i tak się pracuje. Referaty mówią nam o badaniach i pracach regionalnych z najbliższego środowiska. O pracach syntetycznych, nawiązujących do lat przedwojennych. O ciekawych, przemysłowych i pogłębiłnych ujęciach zagadnień geograficznych, z dawnych, są to już nie na czasie. O niestrudzonych poszukiwaniach nowych dróg i nowych metod naukowych. Piękna wystawa kartograficzna i bogactwo wydawnictw geograficznych jakimś organizatorzy zjazdu zasympali w pierwszym zaraz dniu wszystkich uczestników, przynajmniej nas ilość i jakości. Istotnie, dużo się pracuje, dużo się pisze, dużo się wydaje. Trzeba by to wszystko przeczytać, przemyśleć.

I jeszcze jedno, chyba centralne zagadnienie. Przed geografami polską rozwijają się nowe horyzonty. Droga, jaką kroczymy nasze życie państwowe - gospodarcze, jest budowaniem przyszłości, jest szukaniem rozwiązań, które by jak najracjonalniej wypływały ze zrozumienia struktury kraju. Jeżeli mówi się o planie gospodarczym, jeżeli stawia się za cel rozwój zagospodarowanie Ziemi Odzyskanych, jeżeli dąży się do rozwoju miast, to we wszystkich tych i w wielu innych zagadnieniach nie może zabraknąć geografów. Plan ma się przebiegać w krajoobrazu gospodarzy.

To będzie jedno z osiągnięć tegorocznego zjazdu, zamykające część torunską. Równocześnie jednak już pierwsze chwile inauguracyjne ukazują nam cel drugi.

Oto po dwóch dniach wyruszy my z Torunia, by poprzez wzgórze Pojezierza Zachodniego dojechać do Szczecina. Znamy na pamięć geografii Pomorza Zachodniego. W każdej chwili mogliśmy narysować obszar, Odrę i Wisłę ujęty niby ramionami, otwierającymi się ku bękietowi polskiego Bałtyku. Teraz jednak czujemy się niejako delegacją całego narodu, która ma trasę swej wycieczki doznać pewnego rodzaju symbolicznego połączenia Odry z Wisłą; niejako doświadczalnie, własnymi doświadczeniami, stwierdzając, że kraja między Odrą i Wisłą jest jedną, nierozłączną jednostką geograficzną. Ze granic tu, na tym jednolitym organizmie częstokroć naszej racji bytu, nie tylko jest absurdem geograficznym, ale jest wprost zbrodnią wobec samej ziemi, nie mówiąc już o czynnikach ludnościowych i historycznych.

A więc trzeci dzień zjazdu. Pociąg specjalny, sześć wagonów wypełnionych wrzawą rozmową, śmiechem, śpiewem i fragmentarycznym dysput nad mijającym krajoobrazem. Czynimy obserwacje z okien wagonu, czytamy przewo-

dnik Zjazdu, porównujemy obrazy z mapami. Bydgoszcz, Nakło, Piła — te same formy terenu: na południe krajobraz rozległy, monotonny pradolin, na północ kraje wzniesień wysoczyzny, urozmaiconie wzgórzami moren czołowych. Mniej więcej podobno dawna granica — nie sposób zorientować się, ziemia nie nam o tym nie powie. Linia kolejowa biegnie parę kilometrów na północ od Noteci.

W Pile pierwszy przystanek, krótka wycieczka geograficzna. Kolej objeżdża miasto, my szybko marszem przecinamy je. Przygnębiające wrażenie: ruiny, ruiny i ruiny. Miasto, założone w XVI wieku przez Zygmunta Starego, stanowiące główny węzeł kolejowy i drożny Pomorza, dziś jest zupełnie zniszczone. Słońce praży w tych zwaliskach jeszcze więcej, pył ze wszystkich stron czyni na oczy, zmeżone blaskiem i smutkiem.

Wnet jednak nasza droga wyrzuca z gruzów, wznosi się wraz z terenem. Stoimy na poziomie zandrowym (przydłoby się termin polski!). Są to rozległe pola piasków osadzonych przez wody lodowcowe. Przewoźnicy objaśniają formy morfologiczne, wskazują tarasy i zasięgi moren.

Dochodzimy do toru kolejowego. Nim nadjeżdża nasz pociąg, by nas powieźć dalej w ten kraj wzgórz zielonych, piasków i jezior, zdajemy jeszcze raz przyjrzeć się okolicy, i posuchać ciekawych objaśnień znawców zagadnień zandrowanych. Grupki, przynajmniej skompletowane, odpowiadają na zapytania, inne eksplorują mały węzeł z lodami.

A w cieniu największego drzewa ogromny, zbitny krag zasłuchanych ludzi. Wśród nich toczy się jakaś dyskusja najczystszej głow: która morena, jaka terasa, co młodsze, co starsze...

I znowu dalej. Kolej skręca teraz na północ, aż do Szczecinka. Z okien wagonu obserwujemy miasto, założone w XIV wieku, a położone nad jeziorem Przysieka, w obrębie rubieży leśnej, t. zw. „deserta intra terminos Pomeranorum et Polonorum”. Od Szczecinka kolej kieruje się ku południowemu zachodowi, by od tam towarzyszyć grupie jezior, rozmieszczonych w linii niskich dźwiaków wodnych i spłatających się ze wzgórzami moren w typowy krajoobraz południowy.

Wysiadamy w Czaplisku. Wiś rozległa, pięknie położona, niezniszczona, trochę pstra (ściany domów malowane na biało, zielono i różowo). Chwytam w przelocie zaszywaną rozmowę kilku uczestników wycieczki z mieszkającym Czapliska. Pochodzi gdzieś z Kiełckiego. W domu była bieda, dużo dzieci, a mało ziemi. Przyszedł tutaj z rodziną, ma już kilka krow, konia, i z dumą mówi, że wszystko sam obsiał. Jest zadowolony, chwali sobie nowe warunki. W najbliższym czasie wybiera się do swojej wsi sprzedać ziemię. Ten chłop — to prawdziwy pionier, jest na tej ziemi, chwycił się jej pracą rąk upartych i już jej nie puści — ona jest jego ziemia.

A oto jezioro Drawsko, jedno z największych jezior Pomorza Zachodniego. Wyrasta niespodziewanie tuż obok naszej drogi. Chcielibyśmy jeszcze powiedzieć naszym rozmowcy, by spokojnie pracowal na nowej ziemi — wiś o tak pięknym położeniu może rozwinąć się w znaną miejscowość letniskową... I znowu, jak zwykle, analiza krajoobrazu: położenie, topografia, stropopady układ jezior rynnowych, linie tektoniczne w obrębie masy lodowej. Wyobrażam, oswojona już z zagadnieniem, przeniś nam w odlegle ery. Widzimy czoło lodowca, rygle morenowe, spekańe i usłoki między lodem martwym i aktywnym. A jezioro dalej cicho leży przed nami, ja zaś stwierdzam na nowo znaną prawdę, że piękno, którego treść poznano się i zrozumiało, głębiej jeszcze kształtuje duszę.

Dowiadujemy się jeszcze o poszukiwaniach ropy naftowej w okolicy, oraz soli potasowych (któ wie może nasz Czaplinski stanie się sławny?) i powracamy na stację. Teraz już bez przystanku kończymy naszą trasę. O jakichś czas w okna wagonu zaglądamy ładnie jeziora, by szybko kręć się przed nami. Jednostajność trochę usypia. Dzień dobiega do mety, podobnie jak nasz pociąg. Budzi nas na chwilę nowy obraz: to — Stargard, miasto wielkie i piękne, lecz bardzo zniszczone, dawny gród stowiarSKI, założony w XIII wieku przez księcia piastowskiego Barnimę I-go. Położony nad Iną, jej zawdzięcza swoje znaczenie handlowe, należał nawet do Hanzy.

Stąd jedziemy ładną równiną moren dolnej. Głębki tu żywno, aluwialne, kraina rolnicza, coraz więcej lasów. Całodzienna podróż zmęczyła nas. Z utęsknieniem wyglądamy Szczecina, który wypelni nasze ostatnie dni zjazdu nowymi wrażeniami.

Odra! Wszyscy przy oknach. Przedziwna synteza wzruszenia i kartograficznych przypomnień (Odra — Nysa, najlepsza granica Polski). Pociąg jedzie bardzo wolno, jednym z szesnastu mostów nadodrzańskich, jakie pozostały w obrębie miasta Szczecina. W dal Szczecin ginie w morzu zieleni. Potężny atak komarów (Szczecin ma kotlinowe położenie) jest chyba jedynym niemiłym epizodem naszej wycieczki.

Dochodzi godzina dziesiąta wieczór, gdy stajemy na ziemi szczecińskiej, w piastowskim Szczecinie.

Zmęczeni, późno już dościeramy do naszego kwatery i zasympali mocno nie przeczując nawet, ile nieoczekiwanych wrażeń i ośwień czeka nas w dniach następnych.

Stanisław Siadkowski

Pierwszy dzień w Szczecinie. Przed południem otwarcie części szczecińskiej Zjazdu i posiedzenie plenarne, poświęcone regionowi szczecińskiemu. W przemówieniach inauguracyjnych przedstawiciele władz miejskich i sfer kulturalnych witają nas, geografów przybyłych z całej Polski, serdecznie słowem i radością miast, którą pojmiemy pełnią parę godzin później. Wita nas dumna kobieta, co ziemie ojcowo odkrywa zapomniane jej wartości i pracą odbudowuje ruiny. Słuchamy słów tych dzielnych ludzi i odpowiadamy oklaskami.

Referaty przygotowują nas teoretycznie do późniejszych wycieczek. Punktem wyjścia jest morfologia okolicy. Na wprost nas wieszają się ogromne mapy morfologiczne, oraz mapa portu szczecińskiego. Z kłapa krótki, lecz jakże piękny i treściwy przekrój poprzez historię miasta, a wreszcie rzut w przyszłość: odbudowa regionu szczecińskiego na tle krajoobrazu delty Odry, stwarzającego idealne warunki dla nowoczesnych koncepcji urbanistycznych. Słuchamy z zaciekawieniem. I jakby zawstydzeni, że tak późno dowiadujemy się o tym, co stanowi treść i cel życia kulturowego. W ogromnej auli Liceum Żeńskiego, udekorowanej na mapy obraby padają słowa o typie nowego polskiego obywatela z Zachodu, którego rodacy w Warszawie już nie nazywają Warszawianinem, ale „Szczecinianinem”.

Popołudniowe słońce odbija się od polskiej rzeki i wraca ku naszym twarzom, gdy w parę godzin później stajemy plimni przez wody portu szczecińskiego. A potem wycieczka po starym mieście. U stóp Zamku Piastowskiego, zniszczonego działami wojennymi, rozpoczynamy wędrowkę — kalwarię ze stacyj ducha polskiego złożoną. Zamek położony jest na wzgórzu, lecz aż po szczyty szczerle zastąpiony zadróżką kamienic germanich — poóć ukazywać swoim i obcym piękno starej budowli piastowskiej? Do zamku wrócimy jeszcze na końcu, od północy. Teraz idziemy ulicą Kobiet. Gdzieś, z głębi ruin niemieckich, przybyskuje jedna z basz z kompleksu Bramy Kobiet, pozostałość z murów obronnych miasta z XIII wieku. Nieco dalej, skryty w podwórzu, dom bankowy Łojów z XVI wieku, z piękną fasadą gotycką.

Jesteśmy teraz na rynku starego miasta. Przewodnik nasz, rozmówiony w pięknie zabarytk piastowskich Szczecina, oszalała nas ogromem dokumentacji. Każda ulica, każdy zabytek jest żywym, przeżywanym świadectwem polskości miasta. Piękny ratusz gotycki z XIII wieku, z zewnątrz tandemnie otynkowywany na nowocześnie moale, wnetrzem swoim odstania nam w samo jańdro polskiego gotyku. W skupionie ciszy podziwiamy wspaniałe sklepienie sali parterowej, wspar te na pięciu niszach, zbrozonych kolumnach. Niejeden ulega zdumieniu, że zwiędza podziemie zamku wawelskiego.

Lecz czas nagli. Trzeba iść dalej. Wyrastają przed nami rzak po rzak pomiędzy ruinami kamienic niemieckich, ruiny — niestety — gotyckich kościołów, jak kościół św. Piotra i Pawła, krzyżowany przez misję Bolesława Krzywoustego w r. 1124. św. Jakuba z 1187 roku, kościół św. Jana, założony przez Franciszkanów w XIII wieku. Wspaniała konstrukcja, grube mury, piękne portale, ostre łuki okien i koronki filarów, gndzienięcie zachowane stare płyty grobowe z piaskowca, bami i napisami. Stąpamy wśród gruzów wnetrza kościołów. Z pięknem architektury kłóci się ohydna polichromia.

I na końcu już naszej wędrowki — Zamek Piastowski. Budowa rozpoczęta w XIV wieku przez księcia szczecińskiego Barnimę III, trwała przeszło 150 lat. To dopiero rzaki! Archeologów i historyków szkuli! Ostrzeżenie stąpamy po deskach, przeczuciem ponad śled, pieniarni podziemnej kaplicy, będącej w odbudowie. A na dziedzińcu zamkowym, w jednym miejscu, niewinnie wyglądający, płytki jeszcze wykop: właśnie przed południem zaczęto tu kopać — jakies podziemie parcie zamku, bo widać ślady sklepienia. Niemcy, co mogli, zasympali i zakryli. Bali się tych śladów polskości, które dziś, na światło dzienne wydobyle, o prawdziwie idą świadczyć i o naszych niezaprzeczonych prawach do tych ziem.

Linia Piastów szczecińskich wygasła później, niż Piastów — królów polskich, bo dopiero w 1637 roku. Potem Szczecin został zajęty przez Szwedów i w r. 1713 Szwecja sprzedała Niemcom samo miasto za dwa miliony talarów, a dopiero po Kongresie Wiedeńskim resztę Pomorza szczecińskiego. Więć tylko 200 lat panowania niemieckiego w Szczecinie!

Nazajutrz płynęliśmy spokojnym morzem Zalewu Szczecińskiego o statku obcych bander. Płynęliśmy wśród słońca, by przez kilka, zbit krótkich, godzin, popatrzyć w otwarty Bałtyk. Na horyzynie morza podzwarowały nas okręty handlowe, żar bil od białego piasku, a lekkie fale przypływu chłodziły stopy. Jeden z wesołych kolegow zażartował ze swej towarzyszyki, że teraz powinna rzucić swoją obrączkę ślubną do morza. Uśmiechnęła się bezbrósko. Cóż za dzień! Nie, pierścienia nie rzuci (co by maż powiedział!), za to zawzięcie do Będzina swojej matęj Urszulce mnóstwo muzysek, ubieranych w piasku nadmorskim, na polskim wybrzeżu.

Lucja Mazurkiewicz

Z PERSPEKTYWY SZCZECINA

Dokończenie ze strony 1

dowego dla Polski. Już dziś zgłoszone są w Szczecinie tranżyty szczechsiowackie, szwedzkie, norweskie, francuskie i włoskie. Już dziś zbiegają się tu coraz gęsciej linie zainteresowań wielu krajów kontynentalnych i morskich.

Życie portu oparte jest nie tylko na przeladunku, wywozie i imporcie, ale także na własnym przemyśle szczecińskim. Tem przemysł jest różnorodny i bogaty i stanowi nieodzowny składnik życia portowego. W jego skład wchodzi już dziś takie obiekty przemysłowe jak kompleksy fabryczne huty Stoiczyn, huty „Jadwigi”, jak fabryka oleju na nabrzuż „Ok”, fabryka chemiczna na nabrzuż „Unioni”, młyn parowy i fabryka cementu na Żelechowie, jak różne fabryki papieru, brykietów, chłodnie, stocznie, magazyny, siłosy zbożowe itp. Do tego dochodzi przemysł samego Szczecina i okolicy — jak np. największa drożdżownia w Polsce „Crepin”, jak fabryka sztucznego jedwabiu w Żydwinowie pod Szczecinem, cukrownia w Gumińcach czy zakłady przemysłu konfekcyjnego, motoryzacyjnego i spożywczego. Port to nie tylko bandery statków — to dymy kominów i gigantyczne kształty hut. W Szczecinie nie kwitną magnolie, krokusy czy miodek, Szczecin jest miastem przepięknych ogrodów i zieleńców, ale Szczecin jest także i przede wszystkim miastem portowym o przemysłowo - morskim charakterze. To jest jego największym atutem na teraz i na przyszłość.

Wymowa kilku cyfr jest nieraz większa niż całe tomy dociekali. Warto więc przypomnieć, że w ramach planu trzyletniego prelliminowany na samą odbudowę portu szczecińskiego ponad 2 miliardy złotych, a przewidywane inwestycje podnoszą zdolność przeladunkową portu do 6 milionów ton rocznie, to znaczy do pół miliona miesięcznie.

Te cyfry mówią same za siebie. Niech przemówią inne świadczące o naszej zdolności osiedlenia na tym dalekim polskim zachodzie. Jeszcze dnia 5 lipca 1945 roku ilość Polaków nie przekraczała w Szczecinie cyfry 1000 osób. — Dnia 1 stycznia 1946 r. wynosiła już 22.500 osób. Dnia 1 stycznia 1947 r. wzrosła do 108 tysięcy. Od 1000 osób do 100 tysięcy w ciągu półtora roku — to droga imponująca, droga rozwoju, która stała się już stylem naszego pochodu na Ziemi Odzyskanej. Cyfry te mają przediwną wymowę. Jest w nich nowa romantyka Polski przemysłowo - morskiej.

Polski, mający charakter przemysłowo - morski, musi wpłynąć decydująco na nasze życie kulturalne. Ta zmiana jest zresztą nakazem historycznym chwili obecnej. Jesteśmy jednak dopiero na progu przebudowy naszej świadomości i ładu na morzu. Dалеko też jeszcze do przewodnictwa duchowego Gdańska, Szczecina, na czy innego miasta morskiego nad myślą i twórczością polską. Proces to długi. Niemniej jednak zaczął się już i należy się z nim liczyć! „Morze — jak trafnie zauważył Eug. Kwiatkowski — kształci ludzi w pojęciach wielko - przestrzennych, międzynarodowych, nagina charaktery ludzkie do wytrwałości, do walki z przeciwnościami. Morze nie zna granic i nie zna podziałów, zmusza zespoły ludzkie do zdyscyplinowania, kolaboracji, a jednostkę do samodzielnej inicjatywy. Ono hamuje wybujały indywidualizm, ale nie zna totalizmu, ale niszczy anarchię. Kontynent — odwrotnie — popycha ludzi do partularyzmu i uporu zaściankowego, do ustawicznego odgradzania się jednego od drugich. Gdy lud reprezentuje formy statyczne, to morze jest dynamicznym czynnikiem ruchu.

Gdy na lądzie dominuje tendencja posiadania, to na morzu użytkowania. Gdy na lądzie tendencje biegną wprost przeciwko sobie i w konsekwencji doprowadzają do częstego zerwania się do konfliktów przed wyczerpaniem wszystkich możliwości porozumienia się, to na morzu przeważa empiryzm i racjonalizm, a trudności mają tendencję do wymijania się”.

Oto kilka wskazań, kilka ważkich konsekwencji, które nasuwają się nieodparcie, gdy patrzymy w przyszłość z perspektywy morskiej. O morską treść w naszej kulturze powinna już zacząć kampanię nie tylko nauka, ale przede wszystkim sztuka. Ona bowiem najłatwiej zaszczerpi „bakyl morskości” w naszej duszy, ona najżywciej odbije przemiany, dokonujące się w nas na skutek wielkiego procesu historycznego. O „wiatr od morza” w sztuce wola nasza rzeczywistość. Kiedyś dojrzal ją genialny pisarz i odsłonił przed nami zapomniane regiony, zrobił potężny wyłom w naszej perspektywie patrzenia. Kto podejmie dziś to hasło? Kto pomnoży nasze odczucia o nowe doznania, kto wyrwie zapomnieniu zatartą przeszłość historyczną na zachodzie, aby stała się nam tak bliską i silną, jak była niegdys ziemia z Trylogii? Ten apel bije w nas potężnym głosem. Odpowiedzieć nań jest obowiązkiem ludzi sztuki, odpowiedzialnych za losy duchowej rzeczywistości polskiej.

Stanisław Telega

hic MORTUI VIVUNT ET MUTI LOQUUNTUR

Amsterdamie, z których najstarsza jest mapa ujścia Renu, opracowana przez A. Goosa, a wydana przez C. J. Vischera w r. 1620. Mapa Afryki opracowana przez Hondiusa, a wydana w 1623 r. przez J. Jansonięgo, świadczy, że już wtedy ta część świata była dokładnie znana. Na całym obszarze nie ma ani jednej białej plamy, w przeciwieństwie do Ameryki Półn, gdzie cała zachodnia część Kanady wraz z Alaską giną w białej.

5. Z w. XVIII pozostało dalsze kilkadziesiąt druków z takimi jak: Atlas historique par Mr Chateilain edd. Amsterdam MDCCXIX (edd nouvelle) in folio (7 tomów po kilkadziesiąt stron).

Z lat późniejszych cenniejszymi pozycjami są zbiory ulotek i rycin, oraz rękopisów. Między tymi znajduje się odrębny list Naczelnika T. Kościuszkę, prawdopodobnie z r. 1813 (dumanche 3. 10). Różne lexica jessze dziś pozwalają stwierdzać tożsamość starych uczonych.

6. Obecnie jednak najwięcej uwagi poświęca się działowi pomernianic. Jeszcze w początku 1946 r. Biblioteka Miejska otrzymała zlecenie od Ministra Oświaty, aby gromadzić druki pomernianic, gdyż jest przewidziana do biblioteki regionalnej. Lecz skromnie nabywający egemplarz obowiązkowy (3 vol.) nie rókował wielkich nadziei. W ostatnim czasie odkryto szereg pudeł wyładowanych... starymi drukami pomernianic i to daje nam podstawę do kontynuowania regionalnó. Są to co prawda resztki, gdyż o ile mi wiadomo, Pomerniania gromadziła tzw. Biblioteka Pomorska w Gryfit. Nielistety druków tych — z Pomorza i o Pomorzu — nie odzyskaliśmy wraz z tą ziemią. Posiadanie tego materiału umożliwi Niemcom specjalizowanie się w zagadnieniach historycznych i kulturalnych przeszłości Pomorza, pobjudza ich sny o junkierskich majątkach i wygodnym życiu w posiadłościach na wschód od

Dokończenie ze strony 7

Odry, pobjudza do knucia nowych planów opanowania tej ziemi.

Z posiadanych druków pomernianich najstarszymi są zarządzenia celne i regulacje handel wewnętrzny, wydane przez Barnimę XI, drukowane prawdopodobnie w Roszkotu, w r. 1546, oraz przez Barnimę XI i Filipa I, z tego samego roku, w którym zabrano się do wojny z Alaską rabunkowych.

Wszystkie zachowane zarządzenia z XVI w. posiadają pieczęcie lakowe, później suche (na lak nałożony papier i w nim wytłoczono pieczęć). W początku następnego stulecia obok pieczęci pojawia się podpis odrębny. Format różny. Od 8^o do podwójnego arkusza. Z późniejszych czasów zachowało się kilka zarządzeń z czasów szwedzkich, oraz francuskich (dwa w rękop.). Ciekawą pozycją są rękopisy (listy) księży pomernianic: Bogusława XIII z 29. 11. 1595 i 3. 10. 1597, Juliusza Filipa z 2. 12. 1616, 23. 12. 1615 i 17. 2. 1616.

Z druków szwedzkich zachowało się szereg drobnych rzeczy, przeważnie tzw. scholastica. Najstarszym, z dotychczas posiadanych, jest zbiór zarządzeń wydanych w r. 1569 przez Barnimę Starog i jego pięciu bratanek. Druk to tłoczony przez Johana Eokhorna w r. 1570, 40 str., 4^o. Owe Eokhorn to prawdopodobnie Eichhorn ze Slubic, z którego usług korzystał już w r. 1549 Barnim XI, zlecając mu drukowanie jednego z zarządzeń, a w r. 1569 spradowanego do Szczecina celem uruchomienia drukarni. O nim to przechowało się wspomnienie w pracy: „Die Wanderung der Buchdruckerkunst, ihre Ankunft in Pommern” z r. 1777.

Z 1635 r. zachował się kalendarz ścienny o dwukolorowym druku i formacie 86 x 36 z kilku rycinami (postacie biblijne), oraz poradami medycznymi. Zachowane druki pomernianic, choć niezbyt

liczne, rzucają snop światła na życie kulturalne tych ziem, oraz stosunki ogólne.

Z druków poza pomernianic, do tychczas Pomorza cenniejszymi są:

a) Mapa księstwa Pomorskiego, z drugostronnym opisem przynależnych ziem, wyd. w Amsterdamie przez Blauwua G. (przed 1638 r.) w opracowaniu E. Lubino.

b) Dwie karty z niezanego mi dziesiąt (1285—1288 strona) z opisem i widokiem „wspaniałego i daleko znanego miasta Szczecina”. Druk prawdopodobnie także amsterdamski.

c) Odrę dwie karty (Dci — Decij) z trzeciego tomu dzieła „Von dem Teütischen Land” mówią nam o wyspie Rugii (do r. 1181), dają dwie tablice genealogiczne książąt z lat 935—1315, oraz 935—1274, a dalej mapę Pomorza wraz z herbami Wendów, Kaszubów, Szczecina, Pomorza, wyspy Uzedum, Rugii i in. Technika drukarska wskazuje na koniec wieku XVI.

Prócz tego w ostatnich dniach odnaleziono notatki, że w zamkniętych szafach pancernych znajdują się dalsze rękopisy z takimi jak „Vita Ottonis episcopi Bambergensis” na czelu, starodruki i inne archiwa.

Brak wyszkolonego i fachowego personelu (pracuje 14 osób, w tym zaledwie 2 zają odrobnie swój fach), oraz odpowiednich funduszów uniemożliwiają normalną pracę. Usuwanie śladów wojny powinno być już zakończone, tymczasem jest to u nas jeszcze daleką przyszłością. Jedną z najważniejszych przyczyn malego zainteresowania i zaniedbania tej dziedziny jest brak wyższej uczelni tego typu humanistycznej. A należałoby przecież coś przeciwstawić polskiej Szczecinowi Gryfit, gdzie Niemcy oddawają budując bastion kulturalnego sektora swego niewygasłego „Drang nach Osten”.

Stanisław Siadkowski

W strefie amerykańskiej

Zarząd Wojskowy strefy amerykańskiej w Niemczech (Military Government of Germany, U. S. Zone) wydaje miesięczne i wielomiesięczne sprawozdania ze swej pracy i doświadczeń, poparte obfitymi statystykami i licznymi wykresami. Sprawozdania te obejmują: stosunki komunikacyjne, rozwój przemysłu i handlu, opiekę społeczną, sprawy denazyfikacji i rozbrojenia, sprawy ruchu ludności, zatrudnienia i planowania pracy, rozwój rolnictwa i kontrolę oraz regulację cen, sprawy wymiaru sprawiedliwości, przegląd administracji alianckiej i niemieckiej, życie prasy, radio, film i inne sprawy kulturalne i społeczne, sprawy zdrowotne, sprawy oświaty i kultury oraz stosunków wyznaniowych, sprawy wysiedleńców („displaced persons”) i uchodźców („refugees”). W sumie wszelkie sprawy życia gospodarczego, prawnopolitycznego, społecznego i kulturalnego strefy amerykańskiej w Niemczech, nawet sprawy przebiegających tam cudzoziemców: wysiedleńców, emigrantów dobrowolnych i uciekinierów. Obecnie, ze względu na naturę gospodarczej, obie strefy anglosaskie: brytyjska i amerykańska są połączone i prowadzą jedną politykę gospodarczą.

Otrzymałem sprawozdanie z czasu: od maja r. 1945 do 31 października r. 1946. Interesujące jest śledzenie rozwoju stosunków w tym okresie.

Najwęższej zunifikowano ruch pocztowy i telegraficzny. Ustanowiono Niemiecki Dwustrefowy Komitet Wykonawczy Komunikacji i Poczty (German Bizonal Executive Committee for Communications and Posts) z siedzibą w Frankfurtu nad Menem, dla cywilnego ruchu w obu strefach anglosaskich. Projekt amerykański planował zunifikowanie komunikacji pocztowej i telegraficznej we wszystkich strefach okupacyjnych i ustanowienie centralnego urzędu naczelnego dla całych Niemiec. W wyniku akcji usuwania narodowych socjalistów i militarystów z Reichspost usunięto dnia 31 maja r. 1946 19,5% pracowników poczty i telegrafu, a 7,5% przeniesiono z wyższych stanowisk do pracy fizycznej. Poostał brak blisko 3.000 pracowników, głównie pracowników kwalifikowanych i urzędników wyższych z personelu nadzorczego. Ten brak stopniowo usunięto przez przyjęcie nowych sił, przeszkolenie starych funkcjonariuszy, którzy objęli wyższe stanowiska i przeszkolenie nowych pracowników. W styczniu r. 1945 było ich tylko około 50.000, w styczniu r. 1946 było 60.000, a we wrześniu tego samego roku już około 80.000, czyli więcej niż przed wojną. Największą pracą kosztowała odbudowanie sieci telegraficznej. Szybki postęp w tej dziedzinie uświadomił odpowiedni wykres. Gdy we wrześniu r. 1945 nie było w strefie amerykańskiej i w amerykańskim sektorze Berlina 50.000 czynnych telefonów, to we wrześniu r. 1946 mamy już ponad 250.000. W sierpniu r. 1945 pozwolono ludności tubylczej korzystać z rozmów międzymiastowych międzystrefowych, ale dopiero w grudniu tego samego roku, po naprawie i zainstalowaniu kabli i pewnym odciażeniu sieci, silnie zaabsorbowanej do tego czasu przez jednostki wojskowe i zarząd wojskowy, cywilna ludność mogła przeprowadzać te rozmowy w szerszym zakresie. Gdy w grudniu r. 1945 liczba cywilnych rozmów międzymiastowych nie sięgała cyfry miliona, to we wrześniu roku 1946 jest ich już ponad 5 milionów. W październiku 1945 zainaugurowano kontrolowaną komunikację pocztową we wszystkich strefach okupacyjnych, a w kwietniu r. 1946 otwarto zagraniczny ruch pocztowy z Niemiec do wszystkich państw z wyjątkiem Japonii i Hiszpanii.

Strefa okupacyjna Stanów Zjednoczonych obejmuje trzy kraje: Bawarię bez jej północno-wschodniego krańca, Wirtembergię z północną Badenią i Wielką Hesję. W tych trzech krajach ruch handlowy znacznie się zwiększył we wrześniu r. 1946, zwłaszcza od czasu, kiedy zorganizowano w obu strefach anglosaskich oddziały kierowania handlem zagranicznym, stanowiące część dwustrefowej gospodarczej grupy kontrolnej: B. E. C. G. (Bipartite Economic Control Group), w której skład wchodzi przedstawiciel Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych oraz reprezentanci Niemieckiego Komitetu Wykonawczego dla Spraw Gospodarczych, działającego pod nadzorem obu państw anglosaskich.

Temu ogólnemu zestawieniu eksportu w sierpniu i wrześniu r. 1946 odpowiada szczegółowa statystyka, uwzględniająca wszystkie poszczególne pozycje. W sierpniu i wrześniu r. 1946 wielu amerykańskich i innych kupców zagranicznych zainteresowało się produkcją porcelany, która jest jednym z najbardziej poszukiwanych przedmiotów wywozu w strefie USA. Z końcem miesiąca września i z początkiem października r. 1946 Stany Zjednoczone, Austria, Francja, Dania, Szwecja i Norwegia zakontraktowały kupno: motorów Diesla, maszyn drukarskich, chemikali, instrumentów precyzyjnych, cementu i soli. Jeżeli chodzi o import do strefy amerykańskiej Niemiec, to obejmował on: 1) różne artykuły spożywcze (pszenicę, żyto, ziemniaki, jarzyny strączkowe, cukier, cukier, mleko kondensowane, makaron, różnego rodzaju konserwy, ryby świeże i konserwy

rybne), 2) nasiona, 3) superfosfaty, 4) pojazdy, 5) ubrania i obuwie, 6) medykamenty (z USA), 7) bawełnę ze Stanów, 8) węgiel i koks — w niewielkiej ilości — z Czechosłowacji. W ciągu sierpnia i września r. 1946 sprowadzono około 21.600 ton metr. bawelny, czyli prawie połowę zamówionej ilości 50.000 ton metr. bawelny pod względem tonażu jak i pod względem ceny — obliczanej w dolarach — żywności zajmowała pierwsze miejsce wśród towarów sprowadzanych z zagranicy.

Produkcja przemysłowa i całe życie gospodarcze amerykańskiej strefy okupacyjnej jest oparte na podstawowych materiałach przychodzących z trzech innych stref: brytyjskiej, francuskiej i sowieckiej i na odwrót fabrykaty i nie liczne surowce ze strefy amerykańskiej idą do trzech pozostałych stref, ażeby wspomagać ich gospodarkę. Sprawozdanie z sierpnia i września r. 1946 przynosi mapę uwidoczniającą tę współpracę gospodarczą wszystkich czterech stref okupowanych Niemiec. Tak np. ze strefy brytyjskiej otrzymuje strefa amerykańska: gaz, stal, maszyny i części maszyn, smołę i koks, płyty, superfosfaty, kwasy, tlenek syntetyczny, piryty, produkty naftowe, pewne nasiona, wieprzki. Nawzajem do tej strefy brytyjskiej posyła: stemple kopalniane, rudę żelazną, części zapasowe samochodów, kłocę brukowe i fornirowane, sprzęt elektryczny, narzędzia precyzyjne, części maszyn i routerów, tekstylia i wyroby chemiczne. Podobne współdziałanie gospodarcze odbywa się ze strefami: sowiecką i francuską. Wszystkie cztery strefy podzielonych

przez nadzór okupacyjny Niemiec stanowią jedną gospodarkę; między nimi rozwija się żywa wymiana towarów. Ta faktyczna jedność gospodarcza wszystkich stref stanowi ważki argument dla propagandy za zniesieniem podziału na strefy i utworzeniem jednego rządu centralnego dla całego „Reichu” i jednolitej administracji. Obecni przywódcy niemieccy korzystają z tego argumentu chętnie i przy każdej sposobności. Sprawozdanie z ruchu handlowego podaje także statystykę pogwałcen cen maksymalnych różnych produktów i towarów i statystykę nałożonych grzywien („fines”). Znajdujemy w nim także zestawienie dozwoleń przez zarząd okupacyjny zwłzek cen różnych towarów.

Wytwórczość przemysłowa, której ciężkie rany zadała wojna, podniosła się znacznie w ciągu r. 1946, po kilkumiesięcznym okresie bezradności Niemców pod wpływem ciósów odniesionych w roku 1945. Pierwszym okresem dzwignięcia się przemysłu niemieckiego w zachodnich Niemczech były miesiące zimowe roku 1946. W lipcu i sierpniu produkcja na ogół dalej wzrastała, aby we wrześniu r. 1946 na ogół zmniejszyła tempo swojego wzrostu. Zmniejszyła się wytwórczość: opon do aut, wozów fabrycznych, motorów elektrycznych, farb i pokostów, acetonu, płaskiego szkła, materiałów ubraniowych, skóry technicznej. Obniżyła się także liczba naprawianych wozów pasażerskich kolei żelaznej. Oto zestawienie przeciętnego wydobycia miesięcznego węgla we wszystkich czterech strefach w roku 1946 w porównaniu z przeciętnym wydobyciem przedwojennym (z r. 1938):

Wydobycie niemieckiego węgla kamiennego: Stawki miesięczne

podane w tysiącach ton metr.

Strefa:	Rok 1946				
	Przedwoj. w r. 1938	przec. 1 kwart. (25 dni)	przec. 2 kwart. (26 dni)	przec. 3 kwart. (26 dni)	przec. 4 kwart. (25 dni)
Cale Niemcy	13.033	5.287	4.943	5.704	5.830
Strefa bryt.	11.417	4.883	4.051	4.700	4.798
Strefa franc.	1.200	586	585	682	707
Strefa sowiec.	291	200	204	215	216
Strefa amer.	125	118	103	107	109

Widzimy, że wydobycie węgla do jesieni r. 1946 nie osiągnęło nawet połowy wydobycia z roku 1938. W pierwszym kwartale roku bieżącego nastąpił znaczny wzrost produkcji węgla, która z końcem marca i początkiem kwietnia doznała przeszkód i zahamowania w strefie brytyjskiej z powodu strajków i manifestacji górników.

Dużo zrobiły władze alianckie w dziedzinie dobroczynności i opieki społecznej, zwłaszcza jeżeli chodzi o pomoc dla dzieci i młodocianych. Pomógł tutaj także Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Zaczęto realizować program dożywiania niemieckich dzieci. W ciągu dwóch miesięcy przeżywno 61.000 dzieci hekskich i 17.000 w Wirtembergii i Badenii. Wyniki akcji już się ukazały. W Stuttgarcie np., gdzie 1.500 dzieci otrzymywało przez cztery tygodnie racje zawierające 400 kalorii, chłopcy zyskali na wadze przeciętnie 2,9 funta na osobę, a dziewczęta 3,2 funta. Grupa złożona z 460 niedożywionych dzieci z Berlina wraz z 40 instruktorami i nauczycielami spędziła czterotygodniową wakację w Hesji. Obóz wakacyjny miał, poza ciekawym dożywianiem i odpoczynkiem, także za zadanie zaprawić młodzież do współpracy społecznej i demokratycznej samorządu. Ponad 4.000 bezdomnych dzieci wzięły pod swoją opiekę urzędy opieki nad młodzieżą („Jugendämter”). Nad dziećmi zaniebany mi rozciągnięto opiekę poprawczą, mającą na celu zapobieganie przestępstwom i ogólnej demoralizacji młodocianych. W zakładach wychowawczych było w sierpniu i wrześniu r. 1946: w Bawarii 31.341 dzieci, w Hesji 5.520, w Wirtembergii 7.175. Część nieletnich pozostawała pod opieką różnych instytucji opieki społecznej, część wychowywała się u różnych rodzin. W wychowaniu poprawczym było w strefie amerykańskiej 17.161 nieletnich, skazanych przez

sądy dla nieletnich 1.972. Oprócz dzieci niemieckich 1.126 dzieci niemieckich pozostawało pod opieką niemieckich urzędów młodzieżowych („Jugendämter”). Instytucja Cralog (Council of Relief Agencies Licensed to Operate in Germany) starała się o insulinę dla diabetyków, z Danii, Stanów i Szwajcarii. Skutecznie zwalczano kradzież paczek pomocy zagranicznej, która przed dwoma miesiącami była istną plagą; liczba skradzionych przedmiotów spadła w przeciągu sierpnia i września r. 1946 do 1,4%. Na pomoc dla uchodźców i wysiedleńców wydano we wszystkich trzech krajach strefy amerykańskiej razem:

— w lipcu r. 1946 — 6.303.000 marek niemieckich (Reichsmark),	— w sierpniu r. 1946 — 7.161.556 marek niem.,	— we wrześniu r. 1946 — 7.315.703 marek niem.
---	---	---

Były to koszty wyżynienia. W strefie amerykańskiej uruchomiono 7 stacji radiowych: 2 w Bawarii, 2 w Hesji, 2 w amerykańskim sektorze Berlina i 1 w Wirtembergii. Cały szereg gazet i periodyków otrzymało pozwolenie na publikowanie i we wrześniu r. 1946 ukazywało się 40 dzienników i 206 czasopism. Prasa wiodła się nadzwyczajnie. Niektóre gazety osiągnęły we wrześniu r. 1946 duży nakład: „Schwäbische Landeszeitung”, Augsburg — 158.180, „Weser Kurier”, Bremen — 153.000, „Frankfurter Neue Presse”, Frankfurt — 152.220, „Frankfurter Rundschau”, Frankfurt — 152.487, „Hessische Nachrichten”, Kassel — 149.482, „Süddeutsche Zeitung”, Monachium — 337.991, „Nürnberger Nachrichten”, Norymberga — 164.219, „Mittelbayerische Zeitung”, Regensburg — 158.960, „Stuttgarter Zeitung”, Stuttgart — 273.708. Bujnie rozwinięto się czasopiśmiennictwo różnego rodzaju. Oto zestawienie:

Rodzaje czasopism:		Rodzaje czasopism				Ogólna liczba
Bawaria	Hesja	Wirtemb.	Berlin	Razem		
Cz. młodzieżowe	5	1	10	17	68	
„kobięce	4	2	4	10		
„ilustrowane	2	—	4	6		
„literacko - społeczne	—	4	9	25		
„i mieszanej treści	12	—	6	34		
„zawodowe	21	6	7	25		
„religijne	20	7	16	43		
„polityczne	2	1	1	4		
Razem	1064	600	1144	2.985		

Razem także z miejsca ruch wydawniczy książek, broszur i ulotek, otwarty podwoje biblioteki i czytelnia, teatry oraz instytucje muzyczne, kina i teatry widowiskowe. Oto zestawienie całej służ-

by informacyjnej („information services”) wraz z instytucjami kulturalno-oświatowymi i artystycznymi całego obszaru amerykańskiego:

Służba informacyjna w amerykańskiej strefie okupacyjnej: Stan z 30 września 1946 r.

	Bawaria	Hesja	Wirtemb.	Berlin	Razem
Stacje radiowe	2	2	1	2	7
Dzienniki	20	10	9	1	40
Teatry oraz instytucje muz.	326	42	54	14	436
Kina	305	244	133	56	738
Firmy wydawnicze	73	51	110	28	262
Książki i broszury opublik.	267	219	739	58	1.283
Czasopisma	66	29	94	17	206
Służba inform. St. Zjedn.	5	3	4	1	13
Razem	1.064	600	1.144	177	2.985

Władze amerykańskie wydawały swój oficjalny organ w języku niemieckim „Die Neue Zeitung” w 1.500.000 egzemplarzach. Spe-

JAN DRDA

Widziadła i sny

(Fragment powieści)

— Ziemia się obraca i basta!
Doktor Rozum nie słyszy tego. Właśnie zauważył na biegnącej od lasu ścieżce pana radcę górniczego Zimmerheiera, który ze strzelbą na plecach śpieszy z rannego obchodu na kopalnię. Wypada z panem radcą choć parę słów zamienił.
— Dokąd to, dokąd? Na kopalnię?
Pan radca Zimmerheier ma całą twarz czerwoną a w ręku nie się otwarty nóż.
— Już ja tego lotra dopadnę! ... — rzucił im na powitanie.
— Kogoż to?
Kogo! ... tego, co ten nóż zgubił.
Pan radca wymachuje przy tym nożem przed ich oczyma jakby żądny był rozlewu krwi.
— Chodzi o zajęczka? ...
— Sarna ...

Franciszek Buzek trzęsie się od tłumionego śmiechu. Wie, że ten składany nóż należy do Macieja Rzezacza z Kocandy, górnik na szybie „Anna Maria”. Przedwczożar ostrzył go on sobie u Franciszka Buzka na wielkim toczydle.
— Patrzcie no, czy to może być ten kozik? — udaje wielkie zdziwienie.
— Czyż? Tego lotra Rzezacza — wybuch pan radca. — Zgubił go na łące za Panną Marią, gdy Walenta do niego strzelił.
— Patrzcie ... patrzcie ... Rzezacza ... — mruczy do siebie pan burmistrz Franciszek Buzek.

Ale pan radca już nie słucha. Ogarnięty płomieniem zemsty pędzi w kierunku Rukapani. Kitka na myśliwym kapeluszu podskakuje mu w tym biegu jak ogonek pliszki biegnącej nad stawem.
A oni dalej dalej wzniciają obłoki kurzu na drodze; słońce rozżarza blachę a blacha oddaje ten żar Buzkowi, tak że po chwili jest już zupełnie spocony. Drobnutki ziarenka prochu dostają mu się na język ielektrk na zamiar wyrzec słowo; na podniebieniu, w miejscu, gdzie jeszcze dziś rano rozlewał się rozkoszny smak wina, tworzy się teraz rzadkie błoto; gardło natomiasz otrzymawszy wraz ze śliną tego rodzaju mocno nieprzyjemną przesykłę, spuszcza za smyczy pragnienie, które spada na Franciszka Buzka z całą siłą, atakuje całe usta, podniebienie, twarz, wargi, wciśka się jeszcze dalej, do nosa, ogarnia ręce, piersi, całe ciało. Pragnienie to czuje Franciszek każką cząstką skóry, nawet za paznokciami, w palcach i we włosach.

— Jóżecku! — mówi podciągając doktora za rękaw — możemy byśmy pomyśleli o powrocie ... — A przed oczyma duszy widzi dwie pokryte mgiełką szklanki czerwonego wina przysługujące mu jeszcze na dziś zgodnie z urzędowym zwyczajem. Obraz ten jest tak wyraźny i nęcący, że natychmiast sięga po nie ręką.
— Dłaczegóż to, Franciszku?
— Pragnienie ... — odpowiada Franciszek Buzek półgębkiem, niemal nie otwierając ust w obawie przed prochem.

— Tam są żęcy — pokazuje doktor ręką. Daleko przed nimi w polach na Żarcecu, gdzie podobno w upalne dni chadzały południe, kradnące dzieci z miedz, błyska iskrażą się niebieskie kos, a gromada kobiet posuwa się za kosiarzami. Za chwilę już tam będą, pociesza doktor Franciszka. I zwróciwszy się do niego.
— Dajcie się nam czego napić — woła w pole doktor. Ale nikt nie zwraca na niego uwagi. Być może, że właśnie znalazł gniazdo kurapat. Wszyscy zbiegli się w jedną gromadę i pochylają się nisko nad ścierniskiem, pierwszym ścierniskiem w całej okolicy. Doktorowi i Franciszkowi nie pozostawało nic, jak wyjść z samochodu i przejść między do żęców.

A w tej chwili gromada się rozstąpiła, wypadła z niej jakaś kobieta, pobiegła pod miedzę, wyjęła stamtąd kamienny dzban i znów pędem wróciła do niespokojnej grupy ludzi.
— Czy się tam coś nie stało! — zląkł się Franciszek, a gdy doktor nie odpowiedział na to jego przypuszczenie, snuł dalej wątek swoich obaw:
— Zapląta się gdzieś baba pod kosę, ostrze zajadzie w nogę ... Ktoś tam rzeczywiście leżał na ziemi. Doktor przyspieszył kroku, rozsunął ludzi, a burmistrz podążył za nim.
— Co się tu stało?

Mężczyźni i kobiety zwrócili głowy w ich stronę a ujrząwszy doktora, którego cała biedota bardzo poważała, robili miejsce i wyjasniali skłapiwicie:
— To tylko Józka zemdląła ...
— Józka Rzezaczowa ...
Niska, szeroka w biodrach kobieta o twarzy młodej i tak smagłej, że nawet w omdleniu nie nabiera bladości, dzwigała się z ziemi. Wstydziła się tej swojej słabości i zakrywała twarz.
— Dajcie mi się napić — zwrócił się Franciszek do kobiety, trzymającej kamienny dzban. Ręka z dzbanem uniosła się nieco, lecz coś z tego skoro ze dzbana ziała pustka.
— Wszystko wylaliśmy na Józkę ... — tłumaczyła się zbieraczka. Józka Rzezaczowa odsunęła na tył kwicistą chustkę, ręką przysięgła i doprowadziła do porządku mokre kosmyki czarnych włosów, poprawiła zapaskę, obciążoną przyklepioną na piersiach bluźką.
— To wszystko przez ten sen — rzekła słabym głosem do towarzyszek.

Wszystkie co do jednej przytaknęły głowami pewne, że Józka ma rację.
— Jaki sen? — spytał doktor Rozum.
— A ten, com go dzisiaj w nocy miałam ... czarne konie mi się sniły, jeśli chcą wiedzieć ... To przynosi nieszczęście ... A ja boję się o Macieja, żeby mu się tam co na szczybie nie przydarzyło ... Buzek znów zaśmiał się w duchu. Wspomnił sobie w tej chwili na pana radcę Zimmerheiera pedzającego z nożem w garści do miasteczka i na kopalnię. Ale ten Maciejowi i tak nie zrobił, gdzież tam, Maciej się tak łatwo nie da panu radcy.
— Glupstwa! — obrzyził się na te strachy doktor Rozum. — Przecież wy kobieto jesteście w odmiennym stanie! Józka oblała się silnym rumieńcem chociaż jej wystający brzuch już od miesiąca obejmował tę nowinę po całym miasteczku, i jakby przychwycona na jakimś grzechu ze skruchą przytaknęła:
— No tak, jestem, jeśli taska ...
— W szóstym miesiącu?
— W siódmym, jeśli taska ...

Doktor chciał się już na nią obrzyzić, że pcha się tutaj w taki upał, ale przypomniał sobie, że w Rukapani jak świat światem tak się to zawsze robi, i tylko machnął ręką gdzieś poza siebie. Nie ma strachu! W końcu będzie to pięciokilowy chłopak, a kobieta w trzy dni po porodzie podźwiga z lasu plachtę drzewa jak gdyby nigdy nic. Gospodarz Trantyniec, do którego należał ten przedwcześnie dojrzały łąn, niechętnie patrzył na tę nadprogramową przerwę w pracy.
— Położ się na chwilę w cieniu pod miedzą — zwrócił się do Józki. — A reszta do roboty!
Franciszek Buzek nadal dręczony pragnieniem schodził z pola z doktorem.
— Pójdź na miedzę, pójdź na miedzę! — wołała na Józkę z sąsiedniego łąnu pszenicy przepiórka, dzwoniąc w gardziółku swoimi pięcioma pieniakami tak bez troski, jakby do żniw było jeszcze przynajmniej z miesiąc.

ostatnia książka to przedruk książki zakazanej przez narodowych socjalistów. We wrześniu r. 1946 władze okupacyjne U. S. udzieliły pozwolenia na wydawanie sześciu periodyków, poświęconych sprawom: 1) politycznego, gospodarczego i kulturalnego rozwoju Europy, 2) życia studentów, 3) życia kobiet, 4) młodzieży, 5) rozwoju gospodarczego i 6) życia robotników.

— Zeby tak kufelek ... — marzył w duchu Franciszek, a wspomniany znów na anioła i jego nocne napomnienia, pogroził pięścią zięjącym upałem niebiosom:
— Cieleśnych potrzeb nie odczuwają. Łatwo im zakazywać!
Doktor Rozum był już przy samochodzie i stojąc mocno rozkroczony z nogami zarytymi w sytki proch szosy kręcił z całych sił kołba. Motor przychnął jak koń, zagadał gdaqliwie a potem zagrał: ra tata tata.
Za zakrętem drogi skąd dochodziło jednostajne skrzypienie kół wozu, strzał bicza rozciął upalną ciszę na dwoje. A ledwie przebrzmiał, z miasteczka odezwał się dzwón. Bim, bim, bim, bim, bam, wołał na całą okolicę, niosąc swój głos na pola, winnice i lasy.
— Barbarka! — odezwała się równocześnie doktor i burmistrz. Znali ten żalony dźwięk.
— Kopalnia?
— Może.
— Musimy tam jechać!
— Ano, trzeba, nie ma co.
Samochód wracał na pełnym gazie do miasteczka. Już w pierwszej ulicy ludzie dawali doktorowi znaki rękami. Franciszek zupełnie zapomniał o swoim pragnieniu. Ludzie są w niebezpieczeństwie. Może pożar. Albo obwał.
— Co się dzieje? — zapytał doktor zatrzymując samochód na rynku.
— Na „Annie Marii”. Podobno pożar. Coś tam prasło.
Ruszyli w ulicę wiodącą w stronę Kocandy rozpędzając stada gęsi wysiadających w prochu. Dalszą drogę przed nimi wypielnił prąd ludzi. Rzemieślnicy w fartuchach, dzieci, kobiety, wszystko to śpieszyło w kierunku kopalni pod brzoźwym lasem. W ostatniej chwili uskakiwali na bok przed warczącym samochodem.
Cieźka żelazna brama na „Annie Marii” była zamknięta. Żony górników, które miały tu z Kocandy najbliższe, wisiaty jak pszczoły u wlotu łą na kratach wrót na próżno usiłując się wszelkimi sposobami dostać do środka i biec do miedź.
— Idźcie precz, jedźcie, idźcie stąd precz! — wrzeszczał na nie stary górnik Kocan, który był strażnikiem na bramie.
— Oddajcie nam miedź! — jęczały żony górników, miotane przerażeniem i pięściami tłukły o kraty bramy i pomiędzy nie. Kocan odpiął skórzany pas od swoich górniczych portek i walił nim z całej siły po tych wygajających się rękach. W tej chwili nienawidził żon górników więcej niż swoją własną śmierć.
— Tu są tylko chłopcy potrzebne, jedźcie przelęk! Lepiej idźcie do dzieci, w zjrajo pieronka.
Z klątki windowej wynoszone kogoś pod przykryciem białego płótna. Ruszał się, szłałach z bólu i krwią barwił dolną część okrywającej go płachty. Ktoś zagładnął pod płótno i krzyknął: — Krosnarz! Nic mu nie jest. Tylko ma nogę przegniotą.
Doktora Rozuma wpuścił na kopalnię boczną furtką. Burmistrz Franciszek Buzek wszedł tam razem z nim.
— Szczęść Boże! — przywitał ich sztygar. — Wypadek na osiemnastym ... wybuch dynamitu. Ale większość ludzi uciekła.
Franciszek wyjął niebieską chustkę, rozłożył ją i otarł sobie pot z czoła.
— Kto tam został?
— Burian, Przepiórka, Hoszyński ...
Sami doświadczeni górnicy.
W tej chwili wszedł do kancelarii górnik błady jak płótno. Prawą ręką podtrzymywał swoje lewe ramię bezwładnie jak kawał drzewa na stempel. Być może usłyszał, że jest tutaj lekarz.
— Kamień mnie trzasnął. Pierona, kość będzie na nic.
Doktor Józef Rozum podniósł okulary na czoło, spokojnie ujął mu ramię lewej ręki mocnymi, chlopkimi palcami i rozglądając się wokół, czy nie leży tu gdzieś jakiś kawałek bandaża mruknął przez zęby zęb:
— Gówno ci się stało. Daj no ten gnat!
Górnik Buresz usmiechając się poprzez mgłę bólu, podsunął rękę doktorowi jeszcze bliżej i drząc z przejęcia, strachu i radości zarazem marotał:
— Pierunie, pierunie, szczęście, że kość nie jest do niczego. Ale zanim doktor zdobył kawałek bandaża wpadli trzech nady do pasa, usmarowani sadzą chłopci i chwycili doktora Rozumę za rękę.
— Doktorze, chodźcie czym prędzej do Krosnarza, bo mu krwi moc ubywa.
— W porządku, przecież ja mogę zacekać — cofnął swoją rękę Buresz.
Doktor wyszedł z górnikami, Franciszek został. Było mu przykro, że nie może nikomu pomóc, że tylko pęta się tutaj głupio i nieużytecznie jak jakaś baba. Więc przynajmniej wdał się z Bureszem w rozmowę:
— Teża chryja, co?
— Pierona, ale też to jaka, panie burmistrzu! Dynamit złała! To był huk stodiabelny! Wszystko się tam na osiemnastym zawaliło. Na stole stała szklanka wody, ciepłej i pełnej banieczek. Burmistrz porwał ją i brzeg jej włożył głęboko do ust. Przy pierwszym łyku pozwał, jakie ma okrutne pragnienie. Wbił wszystką wodę do gardła. Przynajmniej to błoto spłukał z podniebienia.
— A kto tam jeszcze został?
— Kto? No ... — Buresz zastanawiał się chwilę — myślę, że w tamtej stronie był Burian, Hoszyński i Maciej Rzezacz ... Burmistrzowi mignął w oczach obraz tej małej, śniadej ciężarnej kobiety tak jak ją tam przed godziną ucilił na polu Trantynia. Jak ona mówiła?
— Miałam zły sen; jeśli chcą wiedzieć, czarne konie ...
Zaraz ujrzał też radcę Zimmerheiera z kitką na kapeluszu trzęsącą się wszkiełce ... a potem Macieja, który przedwczożar ostrzył na toczydle szeroki, niebiesko pokrysający nóż.
Górnik Buresz próbował, czy nie uda mu się zdjąć roboczej bluzy. Ból miał w oczach, ściągał kąkeli ust, ale jednak zdołał zwleć nawet ten przekłety lewy rękaw nasiąkły krwią i rozdzarty aż po ramię. Gdy mu się to wreszcie udało, podniósł nagą rękę aż do twarzy i przypatrując się jej spod oka zapytał burmistrza z niecierpliwością:
— Popatrzcie no, burmistrzu, nie zsiniała mi już trochę?
Za drzwiami kancelarii rozległy się czyjeś szybkie kroki w podkuty ch butach. Dobiegło stamtąd wołanie:
— Tomasz! Dzień jest pan radca Zimmerheier?
Drugie buty, które nadbiegły z przeciwnego kierunku, zatrzymały się na chwilę i drugi głos odpowiedział:
— Przecież zjechał za Maciejem Rzezaczem do osiemnastego ...
Potem dał się znów słyszeć odgłos kroków oddalających śpiesznie. Z daleka dobiegał dźwięk górniczego dzwonka.
— Co to znaczy?
— Za umarłych — odpowiedział Buresz i zdrową ręką zdjął czapkę z głowy. Burmistrz Franciszek Buzek zdjął kapelusz. Zanim skończyłi Ojciec Nasz, wpadł doktor Rozum.
— Burmistrzu, radca Zimmerheier został tam także!
Franciszek zamknął natychmiast oczy, by nie patrzeć na powalane krwią ręce doktora. Pod powiekami miał obraz niebieskawego, szerokiego, wyostzonego noża.

Z czeskiego, z upoważnienia autora, spolszczył Dzdziśław Hlerowski

»ODRA«
powinna się znaleźć w każdej świetlicy!

ostatnia książka to przedruk książki zakazanej przez narodowych socjalistów. We wrześniu r. 1946 władze okupacyjne U. S. udzieliły pozwolenia na wydawanie sześciu periodyków, poświęconych sprawom: 1) politycznego, gospodarczego i kulturalnego rozwoju Europy, 2) życia studentów, 3) życia kobiet, 4) młodzieży, 5) rozwoju gospodarczego i 6) życia robotników.

— Zeby tak kufelek ... — marzył w duchu Franciszek, a wspomniany znów na anioła i jego nocne napomnienia, pogroził pięścią zięjącym upałem niebiosom:
— Cieleśnych potrzeb nie odczuwają. Łatwo im zakazywać!
Doktor Rozum był już przy samochodzie i stojąc mocno rozkroczony z nogami zarytymi w sytki proch szosy kręcił z całych sił kołba. Motor przychnął jak koń, zagadał gdaqliwie a potem zagrał: ra tata tata.
Za zakrętem drogi skąd dochodziło jednostajne skrzypienie kół wozu, strzał bicza rozciął upalną ciszę na dwoje. A ledwie przebrzmiał, z miasteczka odezwał się dzwón. Bim, bim, bim, bim, bam, wołał na całą okolicę, niosąc swój głos na pola, winnice i lasy.
— Barbarka! — odezwała się równocześnie doktor i burmistrz. Znali ten żalony dźwięk.
— Kopalnia?
— Może.
— Musimy tam jechać!
— Ano, trzeba, nie ma co.
Samochód wracał na pełnym gazie do miasteczka. Już w pierwszej ulicy ludzie dawali doktorowi znaki rękami. Franciszek zupełnie zapomniał o swoim pragnieniu. Ludzie są w niebezpieczeństwie. Może pożar. Albo obwał.
— Co się dzieje? — zapytał doktor zatrzymując samochód na rynku.
— Na „Annie Marii”. Podobno pożar. Coś tam prasło.
Ruszyli w ulicę wiodącą w stronę Kocandy rozpędzając stada gęsi wysiadających w prochu. Dalszą drogę przed nimi wypielnił prąd ludzi. Rzemieślnicy w fartuchach, dzieci, kobiety, wszystko to śpieszyło w kierunku kopalni pod brzoźwym lasem. W ostatniej chwili uskakiwali na bok przed warczącym samochodem.
Cieźka żelazna brama na „Annie Marii” była zamknięta. Żony górników, które miały tu z Kocandy najbliższe, wisiaty jak pszczoły u wlotu łą na kratach wrót na próżno usiłując się wszelkimi sposobami dostać do środka i biec do miedź.
— Idźcie precz, jedźcie, idźcie stąd precz! — wrzeszczał na nie stary górnik Kocan, który był strażnikiem na bramie.
— Oddajcie nam miedź! — jęczały żony górników, miotane przerażeniem i pięściami tłukły o kraty bramy i pomiędzy nie. Kocan odpiął skórzany pas od swoich górniczych portek i walił nim z całej siły po tych wygajających się rękach. W tej chwili nienawidził żon górników więcej niż swoją własną śmierć.
— Tu są tylko chłopcy potrzebne, jedźcie przelęk! Lepiej idźcie do dzieci, w zjrajo pieronka.
Z klątki windowej wynoszone kogoś pod przykryciem biał

02015

I jeszcze raz Niemcy

WYPALONY TRAWNIK
Obok wili zamieszkiwanej przez kilku Polaków rozciąga się piękny ogród, którego trawniki zostały w dwóch miejscach wypalone przez żołnierzy amerykańskich tuż po ukroczeniu na ziemi niemieckiej. Wypalenie objęło nie więcej ponad dwa metry kwadratu ziemi w sumie i powstało wskutek niszczenia starych pudełek z konserw i gazet. Właścicielka domu, gruba Niemka z brodawką, ubolewała tygodniami nad tym faktem, nie mogąc znaleźć sobie spokoju. Kilka kilometrów dalej od wili znajdował się obóz koncentracyjny, gdzie hitlerowcy przez kilka miesięcy z rzędu palili stopy ludzi. Niemka widziała o tym. A jednak ten trawnik! Ten wypalony trawnik!

POBOŻNY PASTOR
Pewien pastor użył podczas jednego z kazania w czasie wojny następującego określenia:
— Gdyby Chrystus żył dziś na ziemi, napewno obsługiwałby niemiecki karabin maszynowy.

PECH
Dom Fritza Neumanna rozwalila doszczętnie bomba aliancka. Wśród ruin Fritz odnalazł jedynie żelazne drzwi, nadające się jeszcze do użytku. Podniósł je na plecach i ukrył w bezpiecznym miejscu.
— Aliści po jakimś czasie stwierdził, że drzwi — niestety skradziono. Więc wywiesił następujące ogłoszenie:
„Szczęśliwemu złodziejowi chciałem żelaznych drzwi zaofiarować chętnie klucz, jaki po nich pozostał.”

TEŚKNOTA DO DAWNYCH CZASÓW
W wietlu nowych „demokratycznych” pismach niemieckich łatwiej się ostatnio następująca anegdota:
W tramwaju w Düsseldorfie siedzi jakaś kobieta i pyta ciągle swoim niskim głosem: „Panie konduktorze! Pamię konduktorze! Kiedy narzecie będzie plac Adolfa Hitlera! Kiedy narzecie będzie ten plac Adolfa Hitlera!”
Konduktor nachyla się do ucha pytającej i powiada: „To już nie jest plac Adolfa Hitlera. To jest obecnie plac Hrabiego Adolfa. Cóż, zasłużył sobie na to. Hi — Hi!”

POCIESZENIE
Pewien marja wiedzia w matym miasteczku niemieckim więzieniu. Wśród zasadzonych znajduje się także Polak. Zaciekałony major wchodzi z nim w rozmowę.
— Za co ty siedzisz?
— Za pobicie Niemca.
— A ile ci zasądzono?
— 5 lat.
— A jak długo już tu jesteś?
— 5 dni.
— No widzisz, jak czas szybko mija...
DZIECIĘCA ZABAWA
Po sprzaśczeniu rodzin angielskich do Niemiec, dzieci żołnierzy brytyjskich bawią się często z dziećmi niemieckimi.
Oto właśnie maty Niemcy proponuje matemu Brytyjczykowi zabawę w wojnę.
— Ich bin Hitler — woła.
— I am Churchill — Brytyjczyk na to.
Starszy chłopiec przyglądający się z boku:
— No to w takim razie podajcie sobie ręce.
POJĘCIE POLSKU
Przedstawiciel Polski na okupowane Niemcy wdawszy się w rozmowę z przedstawicielem Chin powiedział m. in.:
— Zniszczenie, jakiego dokonali Niemcy w Polsce, jest tak wielkie, iż nie należy się wcale dawać, jeśli po dwu zaledwie latach odbudowy to i owu znajduje się w stanie chaosu.
— Ja też się wcale nie dwoję — odparł chiński dyplomata. U nas po każdej zmianie dynastii chaos taki trwał blisko 300 lat.
(Podał Jan Koprowski)

Wśród czasopism

W prasie periodycznej portowe miasto Szczecin, jeden z najważniejszych ośrodków na Ziemiach Odzyskanych, reprezentowane jest tylko tygodnikiem o tej samej nazwie. Zresztą określenie tego pisma jako „tygodnika miasta morskigo” ma raczej charakter teoretyczny, praktycznie bowiem Szczecin wychodzi raz na dwa tygodnie z podwójną numeracją, z czego tylko wntoskować możemy, że redakcja nie rezygnuje jeszcze z myśli o rzeczywistym przekształceniu swego pisma na tygodnik. Szczecinowi naturalnie wiele można zarzucić z punktu widzenia wymagań, jakie zwykliśmy stawiać periodykom. Bardzo wiele. Powstałby jednak pytanie, czy krytyka taka może w czymś pomóc, czy może się przyznąć do zmian na lepsze, czy nie ma w składzie redakcji ludzi, którzy nie zwalniają sobie sprawy z takich czy innych niedomagań swego czasu? Na pytania te odpowiedzieć by trzeba, że krytyka chyba nie pomoże i że w samym piśmie są ludzie, którzy myślą tak samo krytycznie i zmierzają do usunięcia błędów.

Bo krótko można by Szczecin charakteryzować jako pismo walczące o byt i o współpracowników. I z jednym i z drugim jest kruczo. Oparcie finansowe o niezbyt zdaje się mocną spółdzielnię księgarsko-wydawniczą nie wystarcza i powstaje konieczność szukania innych

źródeł, co znajduje odbicie w treści pisma. Ślady tych protektorów ślędzit można było przez cały czas dotychczasowego trwania pisma. Był m. in. okres „inicjatywy przywajnej”, kiedy tygodnik był czesioowo przynajmniej organem prywatnego kupiectwa szczecińskiego. Obecnie natomiast przeżywa Szczecin wyraźnie okres spółdzielczy, propagując ile wlezie. Samoistnego bytowania zapewnić sobie jeszcze nie może, przy czym powody tego leżą chyba nie tylko w nie wysokim poziomie pisma. Dlatego tygodnik ten należałoby gorąco polecić jednej z wielkich spółdzielni wydawniczych. Spółdzielnia taka pomogłaby przebrnąć przez okres kryzysu, który niestety przedłuża się nadmierne, a równocześnie potrafiłaby może zestawiać tak zespół redakcyjny, że pismo stałoby się lepsze i pożytniejsze.

Nie zapominajmy, że dziwnym zbiegiem okoliczności poza służącymi sprawom wojska *Marynarzem* Polskim tygodnik Szczecin jest zdaniem się jedynym naszym piśmie morskim. *Wiatr od morza* przestał już wiać dosyć dawno a w zastępstwie nie pojawił się żaden nowy periodyk. Przy 500 kilometrowym pasie wybrzeża wytworzyła się paradoksalna sytuacja braku pisma reprezentującego w skali ogólnopolskiej problemu morskiego. Może by Szczecin udało się w tym charakterze przekształcić i choć częściowo

Po krótkich, ciężkich cierpieniach i dokonanych licznych amputacjach głowy i innych części ciała, zmarł w wieku lat 285 na skutek odniesionego w dniu 7.5.1945 szoku nerwowego nasz wielce szanowny pradziad, troskliwy obrońca i drogi kwaterymistrz

PAŃSTWO PRUSKIE

Odnaczony najwyższymi orderami
Członek Zarządu byłego Wielkoniemieckiego Koncernu Reichu
Zasłużony prezydent Zrzeszenia Reakcyjnych Europejczyków
Członek Akademii Wiecznych Machinacji

Wrzuceni stoimy nad trumną wielkiego zmarłego. Do śmierci jego ostatecznej przyczyniła się wydana niedawno ustawa Rady Kontrolnej państw okupujących Niemcy. Zgon jego potwierdzony został przez słynnych światowych medyków, zebranych niedawno na swoim pierwszym powojennym kongresie w Moskwie. Zmarły był prawdziwym i przez to samolubnym patriotą. Ideę państwa wynosił ponad wszystko, dla niej poświęcał też hakatomby ludzi, którzy bez swej śmierci nie umieli jej pojąć. Z biegiem lat stawał się dzięki niezwykłej sile żołądka coraz grubszy. Prowadziło to wprawdzie do coraz częstszych schorzeń dróg pokarmowych, ale nasza szybka pomoc przywracała chorego rychło do zdrowia. Również i ramiona jego s'wały się z biegiem lat coraz dłuższe, przez co nikt mu już w Europie nie umiał patrzeć na palce. Z trzech wieków jego istnienia ostatni stanowią okres nieokreślony się sukcesów. Pod koniec jednak również i w jego organizm dostał się niespostrzeżenie grzyzak bakcyl. — przez naszych przyrodników określony jako należący do rodziny Kruppa-Granatica, — zapoczątkowując proces rozpuszczania i toczenia ciała.

Pamięć o zmarłym, który przez swoją jedyną w swoim rodzaju bezduszność i bismarkantyną głupotę stanowią dla nas wszystkich przytułek i pociechę, pozostanie na zawsze w nas. Poddanym swoim nakreślił możliwie najlepsze granice, władani swemu najszersze, dobroci zaś swej nie nakreślił żadnych, ponieważ jej nie posiadał. W ten sposób stał się dla nas wiecznym przykładem. Imię jego żyć będzie wiecznie w historii wsteczniactwa.

Kronika czesko-słowacka

PROCES POETY B. LUKACZA
W Bratysławie rozpoczął się polityczny proces przeciwko poecie słowackiemu, 47-letniemu dr Emilowi Bolesławowi Lukaczowi, znanemu i u nas, gdyż wiele jego utworów już przed drugą wojną światową przełożono na język polski. Wraz z Lukaczem na ławie oskarżonych zasiadło pięciu dalszych postów do tzw. słowackiego parlamentu ks. dr Tiso. W pierwszej republice czesko-słowackiej Lukacz przez ożywiający działalność literackiej, brał także żywy udział w politycznym życiu Słowacji — z ramienia czeskich narodowych socjalistów, był posłem do parlamentu w Pradze. W czasie ogłoszenia „niepokoj” pisma Lukacz stał się członkiem parlamentu słowackiego w Bratysławie a zarazem pod jego redakcją wychodziło pismo literackie „Tvorba”, wydawane przez towarzystwo ewangelików słowackich pod nazwą Transcancia. „Tvorbi” redagował Lukacz aż do chwili wybuchu na Słowacji (1944) powstania przeciwko Niemcom. Następnie redakcję tegoż periodyku przejął dr Andrej Mráz. Ponieważ jednakże zarząd „Transcancia” wyraził życzenie, aby „Tvorba” była prowadzona w „duchu Lukaczowym”, redakcję tego pisma prowadził ostatnio w myśl tych wskazań, krytyki literackiej dr Andrej Kostolny.

Sam zaś Lukacz stanął obecnie przed sądem. Oskarżenie zarzuca poecie słowackiemu, że jako b. poseł do parlamentu czeskiego, wziął udział dnia 6 października 1938 roku w posiedzeniu katolickiej partii ludowej ks. Hlinki w Żylinie, gdzie zostało zawarte porozumienie w sprawie rozbięcia republiki czesko-słowackiej i gdzie powzięto myśl ogłoszenia niepodległego państwa słowackiego. Dalej zarzuca się słowackiemu poecie postowanie do parlamentu ks. Tiso. Innym zarzutem jest znowu sprawa podpisania manifestu słowackich z dnia 2 października 1944 roku. W manifestie tym pisarze słowacy ostro potępiali rozpętane na Słowacji powstanie przeciwko Niemcom.

W odpowiedzi na oskarżenie bratysławskiego sądu — poeta Lukacz nie poczuwa się do winy i stwierdza, że nigdy nie sympatyzował z ideami nazistowskimi. Po wybuchu powstania na Słowację przeciwko Niemcom, słowacki urząd bezpieczeństwa zakazał dalszego wydawania „Tvorby”, redagowanej przez

poetę. Wtedy Lukacz zgłosił natychmiastowo rezygnację jako poseł a zgłosił ją na ręce przewodniczącego sejmiku „republiki słowackiej” dr Sojkola. Jeśli chodzi o podpisanie słownego manifestu pisarzy słowackich, piętnujących powstanie — to manifest ten został zredagowany w bardzo brutalnej formie przez katolickiego poetę słowackiego Tido Gaspara. Wielu pisarzy słowackich nie chciało manesfu w tej formie podpisać. Wobec tego pisarze ci wraz z Lukaczem opracowali nowy tekst swego posłania do narodu słowackiego i to w formie, która była „do przyjęcia”. Jednakże poeta Tido do Gaspara nie zaakceptował nowej formy manifestu, podpisanego przez pisarzy słowackich — lecz podał do wiadomości publicznej przez radio tekst pierwotny, wymieniając pisarzy słowackich, którzy manifest ten rzekomo podpisali. Wyjaśniając te sprawy, oskarżony Lukacz podaje także, że przez szereg miesięcy ukrywał u siebie w domu przed pościgiem Gestapo znanego komunistycznego poetę słowackiego Laco Novomeského, który obecnie jest prezesem Związku pisarzy słowackich.

CZY SARTRE JEST OPĘTANY PRZEZ DIABŁA?
Polska prasa literacka dotąd w sposób raczej chaotyczny poświęciła kilka swych uwag nowemu kierunkowi filozoficznemu, reprezentowanemu przez Sartre w literaturze francuskiej. W Związku Radzieckim kierunek ten spotkał się ze strony tamtejszych krytyków literackich ze zdecydowaną odprawą i uważany tam jest dotąd jako wybitnie antymarksistyczny. Jednak sprawa egzystencjalizmu nie schodzi nadal z lamów licznych pism zagranicznych. I Czesi, tak zawsze reagujący na modne kierunki zagraniczne, wiele miejsca ostatnio poświęcają w swej prasie Sartre'emu i egzystencjalizmowi. Ostatnio cały numer czeskiego czasopisma „Listy” jest poświęcony wyłącznie tej sprawie. Numer ten jest bardzo bogaty... bo zawiera aż 150 stron druku. Trzeba przyznać, że redaktorowi „Listów” Jerzemu Chalupkemu udało się zgromadzić na lamach wspomnianego czasopisma bardzo cennej jakości dobrany materiał w danej sprawie, który omawiają tak pisarze obcy, jak i pisarze czescy. Niezależnie od tegoż numeru „Listów” trzeba nadmienić, że i w samej Francji w tych dniach pojawiły

W głębokim smutku:
Wilhelmina Aera jako pasierbica
Germania, z d. Brandenburg jako żona
Duch Poczdamu jako wychowanek,
Baron Barras Militaryarm jako wierny towarzysz broni
Pruski Typ Urzędniczy jako sekretarz pryw.,
Freiherr Junker jako zarządca rozległych dóbr
Posągi z berlińskiej Alei Zwycięstwa w im. całej służby

Laskawe wieńce laurowe składać prosimy w narodowym zakładzie pogrzebowym „Walhalla”. Prosimy o nieskładanie wizyt kondolencyjnych, gdyż z powodu wysiedlenia żyjemy do czasu w ukryciu. Datki na akcję wskrzeszenia wielkiego zmarłego prosimy kierować na adres: Deutsche Konservative Partei, Hamburg, która powstała i działa w strefie brytyjskiej.

się dwie nowe książki poważnych autorów francuskich, którzy zajmują w swych rozważaniach negatywne stanowisko wobec Sartre'a i jego egzystencjalizmu. Pierwszą z tych książek to Tom LeFebvre: „L'Existentialisme”, druga zaś książka ukazała się nakładem de la Table Ronde w Paryżu, w której Pierre Boutang i Bernard Pingaud pytają: „Sartre est — il un possédé?” — czy Sartre jest opętany przez diabła?

TROCHE O DOKŁADNOŚCI INFORMACJI
Kiedy po nadejściu krakowskiego „Dziennika Literackiego” nr 11 (16—22 maja br.) do Pragi, wsrzeczy satyrycy i humorysty zaczęli numer ten wykupywać po paskarskiej cenie — a to ze względu na liczne nieścisłości i dowolności zawarte w artykule zatytułowanym „Nasi goście”, nie podpisywany autor zamieścić kilka życiorysów literackich przebywających obecnie w Polsce pisarzy czeskich i słowackich. I tak pisząc o znanym regionalnym autorze A. C. Norze (Józef Kawan), anonimowy autor notuje: „... jest on doskonałym marzaczem ludu, mieszkającym u stóp Beskidów.” Otóż, trzeba tu zaznaczyć, że A. C. Nor czyli J. Kawan dotąd nie napisał żadnej książki o ludzi mieszkających u stóp Beskidów. Pisał natomiast o ludzi mie-

szkającym na Śląsku Huczyńskim i Opawskim czyli w tak zwanym dawniej „Sudetenlandzie”. Wydaje nam się jednak, że kraj sudecki nie leży u stóp Beskidów. Swych zasadniczych dzieł A. C. Nor nie nazywa ze względu na krytykę literacką powieściami, lecz dopełniał tytuły w ten sposób: „nie powieść” lub „jeszcze nie powieść”. Ten sam anonimowy autor z „Dziennika Literackiego” podaje, jakoby właściwe nazwisko innego pisarza czeskiego publikującego swe utwory pod pseudonimem Wacława Rzezcza „... brzmieć miało... Voniawka. W przekładzie na polski toniawka oznacza: perfuma. Zaś właściwe nazwisko Rzezcza brzmi: Volavka. Gdzie indziej znowu tytuł

»Wysoki płomień«

Tom wierszy Grzegorza Timofiejewa *) zamyka w poetycką wizję najczystsze lata okupacji, związane z nasłuchiwaniem kroków „za drzwiami i z niespokojnym — jak pisze autor — „snami zasypianymi gwiazdami” członkiem. Trud, oddanie i wiara konspiracyjnie zostały wyrażone w wierszach: „Tajny drukarz”, „Kuterka”, „Mały Kolporter”, „Pochwała broni ożywej”. Same tylko tytuły świadczą o zainteresowaniu autora, które wypełniły jego codzienne sprawy w pierwszych latach nocy okupacyjnej. I choć uczucie doznane w książce „Wysoki płomień” nie jest wszystkim, co nam wypadło wówczas przeżywać, w wierszach Timofiejewa brzmiał poczucie wiary w szczytną przyszłość.

Jeżeli brzoł pochwyć się ręce to jakbyś śmierć z miłości splótł, bo odtąd kochasz jakoś więcej zwyciężaj dzieła i ludzi trad. Ta wiara miała być wystawiona w najbliższej przyszłości na najczystsą próbę. Poeta — konspirator — stał się schwytyany jako działacz ZWZ i zesłany do obozu koncentracyjnego w Gusen. W czasie konspiracji była walka nierówna i tragiczna, ale przecież znajdowało się w niej miejsce i na heroiczną dumę i na pełen sensu śmierć.

W obozie koncentracyjnym górowało ponad wszystkim poczucie bezsily. Tam istniał tylko problem przetrwania, podtrzymywania sił wiary i przyszanym gestem towarzysza kedoll. „Poranny apel”, Kamienisty dzieło”, „Głód”, „Ucieczka”, „Śmierć i „List do synka” oto tytuły wierszy, które jednocześnie wyrażają uczucia, jakimi żył podówczas poeta.

I jest naga chwila skupienia. Żył i nie żył przy pierwszej. Słucham kaszlu i wiatru drzenia. I zgaduję idea śmierci. Wiekoszty wiersze poety powstały bezopiecznym w obozie. Czytał je w opisach najbliżsi, w wolnych chwilach, w tych zespołach obozowych, które mogły się zebrać by słuchać odświeżonego słowa poezji. Brutalizm, przymityzm, okrucieństwo, głód, praca ponad siły w kamieniołomach — toż przetrwanie i wyzstępnicy obozowej, które trzeba było przetrwać, aby dotrzeć do ludzi i znaleźć w nich słuchaczy. Wydaje się, że to okoliczność w decydujący sposób wpłynęły na formę wierszy Timofiejewa. Ich prostota, przetrzyśniętość i klarowność, operowanie konkretnymi zdaniami, swa uzasadnienie przede wszystkim w potrzebach i możliwościach tego audytorium, jakim wypadło im służyć.

Literatura obozowa jest bardzo liczna. Ofituje ona szczegółnie we wspomnianie. Złotr wierszy Timofiejewa należy do niewielu tomów, które zawarły w sobie obfite utworów poetyckich, związanych z obozami śmierci.

Należy się u nas na to, że twórczość związana z tragicznymi przeżyciami obozowymi były czynnikiem wywołującym w nim uczucie raczej o negatywnym znaczeniu. Nie chcemy tego problemu rozstrzygać. Jedno jest jednak przy tym pewne: literatura obozowa pozostanie naszym dołkiem, który zajmie poczesse miejsce w historii. „Wysoki płomień” Timofiejewa na odcinku poetyckim to dokument ostatnich dzieł.

Antoni Pokorski „Wysoki płomień”, Spółz. Wydawn. „Książka”, 1946.

Krótkie spięcia

Produktywizacja podopiecznych

„Nauczyciele emeryci pod opieką młodzieży P. C. K. 108 kół młodzieżowych PCK powiatu żywieckiego powodując się uczuciem wdzięczności do swoich wychowawców, podjęli akcję niesienia pomocy emerytowanym nauczycielom, żyjącym w skrajnej nędzy i w śródmiości, któremu uświadomili kilkadziesiąt lat pracy i zdrowia. Niezależnie od pomocy pieniężnej kolia PCK dbają o zaspokojenie dalszych potrzeb emerytów zamieszkałych w ich rejonie.”

Wymakaloby więc z tego, że emeryt, a zwłaszcza emeryt-nauczyciel, o ile zastępuje na nazwę podopiecznego, to nie tyle z tytułu, że znajduje się pod opieką Państwa, co z tytułu, iż znajduje się pod opieką kół młodzieży PCK. Dlatego też należałoby go nazwać „podopiecznym młodzieży PCK”. Inna rzecz, że dotyczyłoby to tylko emerytów-nauczycieli w powiecie żywieckim. W innych bowiem powiatach nauczyciele-emeryci zastępowaliby na nazwę — „Podopiecznych świeżego powietrza”, jako że biedacy znajdują się właśnie jedynie pod opieką takowego.

A teraz co do produktywizacji. Produktywizacja oznacza — dookładnie tego nie wiem, ale przypuszczam, że tak jest — funkcję, polegającą na produkowaniu. Na przykład więc, gdy podopieczny ma być produktywizowany, to wówczas powinien on produkować. Cóż jednak podopieczny może produkować? Zaraz się przekło-

walidów napadła na wieś, zdemolowała kilka domów, raniąc przy tym paru mieszkańców.

Na tego rodzaju wystąpienia powiatowe władze bezpieczeństwa arezowały winnych zając.”

Tak się więc zakończyła produktywizacja podopiecznych inwalidów wojennych.

Na marginesie powyższego trzeba teraz zaznaczyć, co następuje:

Możemy tych, którym się należy jakaś opieka, nazywać podopiecznymi albo wymyślić dla nich jeszcze bardziej cudacne słowo. Możemy też w stosunku do tychże podopiecznych używać wyrażenia produktywizacja, które prawdę powiedziawszy jest wyrażeniem, więcej niż okropnym — ale obydwoje uwało fakt, że na żyjących w skrajnej nędzy emerytowanych nauczycieli zbiera jałmużnę młodzieży szkolna, i że inwalidzi wojenni zabawiają się z braku należytej opieki — w zwyciężających bandytów.

Obu kategoriom należy się opieka i to opieka wydatna. Jeśli jednak tej opieki nie ma, to wówczas muszą się dziać takie rzeczy, jakie zostały opisane powyżej.

Z tego też względu wypada nam tutaj zakłonić, że jeżeli tak dalej ma wyglądać produktywizacja podopiecznych, to z taką produktywizacją podopiecznych — za przeproszeniem wszystkich produktywizowanych podopiecznych — do luftu!

Muzyka rosyjska w Berlinie

Berlin jest chyba dzisiaj jedynym z niewielu miast, które po wojnie nawiązało pełny kulturalny kontakt ze światem. Czuje się wyraźnie stały proces przenikania wpływów kulturalnych władz okupacyjnych na niemieckie sfery artystyczne. A przy tym nie tylko porównuje się życie duchowe niemieckie z rosyjskim, ale także francuskie z angielskim, lub np. amerykańskie z rosyjskim. A konkurencja dopinguje i uskrzydla wszelkie poczynaania artystyczne. Wszystkie partie tego międzynarodowego ośrodka kultury chcą wywołać zachwyt swymi wynajmami i zyskać rozgłos w całym świecie.

Rosjanie — jak wiadomo — mają dla muzyki specjalne zamiłowanie. Młodym wykonawcom powodzi się w Berlinie świetnie. Reprezentacyjni przedstawiciele świata artystycznego, a w pierwszym rzędzie muzycznego, nawet na wyglądzie zewnętrznymszykali ogromnie, są okrągłi, siłni, zdrowi. Specjalna troskliwość i opieka otaczają Rosjanie operę i radio. Od szeregu tygodni życie muzyczne w Berlinie stoi pod znakiem muzyki rosyjskiej. Długo tematem rozmów w kołach interesujących się sztuką i muzyką były występy chóru państwowego i państwowego kwartetu Beethovena, który przyjechał z Moskwy na gościnne występy. Ostatnio odbył się szereg koncertów fortepianowych w wykonaniu solistów rosyjskich światowej sławy. Grali: pianista Lew Oborin, wiolonczelista Fiodor Lusnow, śpiewali: sopran koloraturowa Irina Maslennikowa i jeden z najwspanialszych tenorów lirycznych, Sergiusz Lemieszow. Ogromne za interesowanie, oprócz tego, które wywoływały same osoby wykonawców, okazano nowemu utworowi sowieckiemu. Wykonano bowiem dotychczas nieznanym koncert fortepianowy Arama Chaczaturiana. Imię tego kompozytora jest dziś może nawet sławniejsze od Sz-

stakowicza. Bo i ten twórca kompozycji symfonicznych o sławie światowej nie jest czysto rosyjskim typem muzycznym i widać w jego dziełach wyraźny wpływ Brucknera, Respighiego i Ryszarda Straussa. Natomiast Chaczaturian przedstawia typ radykalnego kompozytora. Jego suita Nr 1 z baletu „Gajane” jest nawet kompozycją lżejszego pokroju, pewnego rodzaju wariantem tańców polowieckich Borodina, natomiast koncert fortepianowy jest odzwierciedleniem nieprzeciętnej indywidualności muzycznej tego wielkiego kompozytora. Jest to kompozycja na wskroś modna za równo w partii fortepianowej jak i orkiestralnej, śmiała i zdrowa. Dysonanse nie są nigdzie rażące, nie robią wrażenia sztucznych, czy też wymuszonych. Ciętkawa jest bardzo instrumentacja, a nawet w tych częściach, gdzie jest silne forte, dzie instrumenty brzmia harmonijnie, a nie chałaśliwie. Oborin wykonał partię fortepianową, podkreślając jej rytmiczne synkopy i podwójne trylery swoją błyskotliwą techniką i nieprzeciętną perłową dokładnością zwłaszcza prawej ręki. Ani jednej fałszywej nutki, ani jednego niedociągnięcia. Obok tego fenomenalnego pianisty wielkie sukcesy osiągnął czelista Lusnow. Zarówno technika lewej ręki jak i technika smyczka wywalała entuzjazm wśród słuchaczy.

Największe wrażenie jednak na słuchaczach zrobiły występy wokalne Maslennikowa — to śla wa o skali międzynarodowej, jej sopran w najwyższych nawet tonach brzmiał niezwykle pięknie i wywołuje podziw. „Kunstzt spiewaczy tej uroczej również w dziedzinie artystyki stawia ją w rzędzie najlepszych śpiewaczek świata. Lemieszow, który zrobił karierę w zawrotnym tempie, bo w ciągu krótkiego czasu z małoletniego wiejskiego chłopczyka stał się tenorem sławnym na cały świat, śpiewa co prawda zbyt często może fałsetem, rozprządza jednak pięknym materiałem głosowym. Jego ciepły, soczysty timbre głosu pozwolił mu nawet na to, że odważył się śpiewać pieśń Szuberta, które w wykonaniu tego artysty brzmiały wyjątkowo pięknie i rzewnie. Słowicze głosy tego małżeństwa śpiewaczego cudnie harmonizują w duetach operowych. Artyści ci wystąpili w „Tra viacile”, a kreacje ich zarówno aktorskie jak i głosowe były niecodziennym wyczynem artystycznym.

Stete